LIBERTÉ!

numer 40/listopad 2019

CO DALEJ?

FRÉDÉRIC MARTEL ° BŁAŻEJ LENKOWSKI ° PIOTR BENIUSZYS ° MAGDALENA M. BARAN
BARTŁOMIEJ AUSTEN ° AGNIESZKA POMASKA ° RENATA SOKOL JURKOVIĆ
ANITA SOWIŃSKA ° ADAM WAJRAK ° KATARZYNA JAGIEŁŁO ° MACIEK ZAJĄC
SŁAWOMIR DRELICH ° JOANNA ELLMANN ° TOMASZ BĄK ° ZBIGNIEW MIKOŁEJKO

CO DALEJ CZYLI PATCHWORK POLSKI

MAGDALENA M. BARAN
Zastępczyni redaktora naczelnego *Liberté!*

Gdy byłam małą dziewczynką, cztero- może pięcioletnią Babcia uszyła dla mnie spódnicę. Miesiącami składała kolorowe szmatki, przykrawała kolejne kwadraciki, a następnie mozolnie zszywała je w przedziwny materiał, który – jak twierdził Dziadek – nie miał prawa się udać. Po co robić z dziecka obdartusa, skoro można wykroić piękny materiał w kropki, paski czy biedronki i uszyć coś niemal perfekcyjnego, w czym słodka dziewczynka będzie wyglądała jeszcze słodziej. Babcia była jednak uparta (co mam najpewniej po niej), diablo pracowita i spódnicę uszyła. Pamiętam ją doskonale, ba!, przechowują pośród skarbów z dziecinnych lat. Spódnica długa, do ziemi, która przez kolejne lata niejako rosła ze mną, z maxi zmieniając rozmiar na niemal mini. Zachwycająca. Kolory, faktury, tasiemki, masa szmatek, które pozornie do siebie nie pasowały, ale dzięki cierpliwości, miłości i pracy stały się jednym. Stały się pięknem. Stały się wartością. Wtedy to była spódnica z kolorowych szmatek, ale od lat wiem, że Babcia podarowała mi pierwszy w moim życiu patchwork. Ten zaś, w różnych formach, towarzyszy mi do dziś. Patchwork, idea, w którą wierzę. Składanie, dopasowywanie, nie zawsze łatwe przykrawanie różnych, pozornie nie przystających do siebie elementów tak, aby stanowiły całość.

Gdy zatem pytamy „Co dalej?", a pytanie to powraca echem w kolejnych rozmowach, pytamy o coś więcej niż gotowy, opracowany i sprawdzony wymysł designerów polityki czy spraw społecznych. Owo „Co dalej?" nie może być również wiecznym powrotem do pytań, zdarzeń, działań, zaniechań i zaniedbań z ostatnich trzydziestu lat, ani rozliczeniem błędów czy nieodrobionych lekcji z dalszej przeszłości, które pchnęły nas w mity, iluzje, fantazmaty, które – w jakimś sensie – nie dały szansy, by wspólnota naprawdę i do końca się u nas wydarzyła. „Co dalej?" to więcej niż przepracowanie traum, posprzątanie po konfliktach czy próby budowania pamięci, narracji, opowieści. Aby wydarzyło się potrzeba czegoś więcej/głębiej.... Albo...

Bo może jedną z możliwych odpowiedzi jest właśnie ów patchwork, wraz z całym procesem jego powstawania. Moment, w którym umawiamy się na przekształcenie tego, co uwiera w imię jakiegoś dobra. Żebyśmy już nie udawali, nie tkwili w złudnych przekonaniach, nie... Żebyśmy nie mrozili się nawzajem pozorami sielanki i zgody, w którą nie wierzą ani nasi sprzymierzeńcy, ani ci, których chcemy chronić. Przepracowanie, w którym mamy świadomość trudu (a czasem i bólu) ponoszonego przez każdą ze stron, przy jednoczesnym przekonaniu, że owa zmiana (jakkolwiek skomplikowana) jest konieczna. Taki patchwork nie byłby zły. Skoro funkcjonują rodziny patchworkowe to czemu nie pokusić się o patchworkową wspólnotę?

Ale po kolei. W każdym z przypadku rozpruwanie tego, co zastane boli. Boli rozcinanie szwów przyzwyczajeń, przekłamań, obowiązków – faktycznych i wyobrażonych. A przynajmniej myślimy, że boleć będzie... Wychodzenie z politycznych, społecznych czy rodzinnych układów do łatwych nie należy. Jeśli dodać do tego utratę pozycji – lidera, szefa, przewodnika „stada" – robi się jeszcze trudniej. Boli również zszywanie, tworzenie świata, wspólnoty, partii z owych elementów. I znów... docinanie, wbijanie igły, „wpisywanie" innej postaci starego świata w nowy scenariusz, co winien wyłuskiwać dobro z przeszłości, jednocześnie szukając go w tym, co nadchodzi. A skoro potrafimy zrobić to z rodziną, to czemu nie ze wspólnotą, czemu nie z Polską? Bo może w ramach owego „Co dalej?" wyjdzie nam nie tyle „zszywanie Polski", co właśnie patchwork uszyty z różnych szmatek, pozszywany kolorowymi nićmi, gdzieniegdzie spięty agrafką (gdy musimy dogadać się choć na chwilę), przyłapany fastrygą (by wiedzieć, gdzie później szyć już maszynowo), mocnym szwem, czy na okrętkę (czyli jak mawiała Babcia... na kaczą – nomen omen – dupę). Wszystko z naparstkiem na palcu – żeby się nie pokłóć. Wycinamy dogmatyzm przekonań, złudzenia wielkości, sny o potędze, brak dobrej woli. Co zostaje... Tak krawiec kroi, jak mu materii staje... ale też tak, jak mu pozwala otwartość i wyobraźnia. I poczucie, że warto. Bez tego pozostaje przeciąganie polskiego „Co dalej?" między opcjami, w swoją stronę, przeciw każdemu. Przeciąganie tak długie, że materia się rozerwie, postrzępi, zniszczy... I już do niczego nie będzie się nadawała. Więc... może patchwork to nie taka zła opcja.

Fot. Artem Kovalev on Unsplash

CO DALEJ?

6 • **CO DALEJ?**
Błażej Lenkowski

14 • **WIZJA, ELEKTORAT, PRZYWÓDZTWO**
Piotr Beniuszys

24 • **WYIMEK Z POLSKIEGO ALFABETU**
Magdalena M. Baran

32 • **POLSKOŚĆ, POLSKOŚĆ**
Zbigniew Mikołejko

36 • **KALENDARIUM UPADKU NOWOCZESNEJ**
Bartłomiej Austen

W IMIĘ...

50 • **DZIWISZ MUSI ZACZĄĆ MÓWIĆ PRAWDĘ**
Z Frédériciem Martelem rozmawia Piotr Beniuszys

ZIELONY LIBERALIZM

56 • **JAK URATOWAĆ PLANETĘ DLA NASZYCH DZIECI?**
Zapis panelu z Igrzysk Wolności 2019

SŁOWNIK LIBERAŁA

74 • **EDMUND BURKE I KRYTYKA REWOLUCJI, CZYLI O ŹRÓDŁACH MYŚLENIA KONSERWATYWNEGO** *Sławomir Drelich*

OKNO NA NAUKĘ

84 • **TESLA – CZŁOWIEK, KTÓRY WYNALAZŁ XX WIEK**
Joanna Ellmann

WIDZIADŁA

98 • **„JOKER" CZYLI INCEL I JEGO KLAKIERZY**
Maciek Zając

WIERSZ WOLNY

106 • **LIT ME UP**
Tomasz Bąk

CO DALEJ?

BŁAŻEJ LENKOWSKI

Program negatywny, powstrzymanie złych zmian czyli od miesięcy esencja przekazu PO, może być dodatkiem, ważnym elementem mobilizującym, ale nie może stanowić jedynego uzasadnienia istnienia w przestrzeni publicznej. Jednocześnie program i przedstawiający go ludzie muszą być wiarygodni, muszą dać szansę abyśmy mogli uwierzyć w ich słowa.

Photo by Ilkka Kärkkäinen on Unsplash

Czego dowiedzieliśmy się po ostatnich, przegranych przez opozycję wyborach parlamentarnych? Jakie lekcje powinny wyciągnąć z tych wyników środowiska opozycyjne? Przez media przetoczył się już huragan dość oczywistych wniosków. Warto jednak raz jeszcze powtórzyć kilka tez, a także spojrzeć na te wyniki z większego dystansu.

1. Zwycięstwo i szklany sufit PiS

Kolejna samodzielna kadencja rządów PiS (niezależnie od tego czy Senat będzie w stanie spowalniać proces legislacyjny czy też nie) po wszystkich wydarzeniach związanych z łamaniem Konstytucji RP, promocji fundamentalistycznej wersji katolicyzmu, kardynalnych błędach w polityce zagranicznej, oburzających aferach, nieprzyzwoitym zawłaszczaniu państwa czy niszczeniu dobrego demokratycznego obyczaju w Sejmie, dla liberalnego wyborcy może wydawać się katastrofą. Katastrofą moralną. Po tym wszystkim co się wydarzyło nadal około 9.200.000 naszych współobywateli, jeśli sumować wyborców PiS i Konfederacji, opowiedziało się za fundamentalnie inną wizją państwa niż ta, do której aspirujemy, a która wydaje nam się cywilizacyjną oczywistością. To jest przegrana opozycji oraz środowisk ją wspierających i trzeba to jasno przyznać.

Jednocześnie wynik ten nie jest rezultatem jakiejś rewolucji w postawach wyborczych w Polsce. Polska scena polityczna jest od lat podzielona mniej więcej na pół, na obóz osób wspierających szeroko rozumiane opcje modernizacyjne, proeuropejskie, dążące do otwartości i współpracy oraz na obóz tych, którzy są sceptyczni wobec wartości oświeceniowych, obawiają się zmian i otwartości. Przez lata Platforma potrafiła skutecznie poszerzać swój „kawałek wyborczego tortu". Dziś zdecydowanie skuteczniej czyni to PiS, sprytnie operując technologią propagandową i transferami socjalnymi.

Wydaje się jednak, że PiS swoim zwycięstwem wyznaczył jednocześnie swój szklany sufit poparcia. Po czterech latach wyjątkowo dobrej koniunktury gospodarczej i bardzo hojnej polityki socjalnej, jest bardzo daleki od osiągnięcia większości konstytucyjnej, niezbędnej do przeprowadzenia rewolucji systemowej, która jest ostatecznym celem Jarosława Kaczyńskiego. Dalej, wedle wszelkich reguł rządzących demokracjami, może być już tylko gorzej. Poparcie dla każdej partii po ośmiu latach rządów w sposób naturalny słabnie, ludzie są zmęczeni i poszukują nowych rozwiązań. Wydaje się zatem, że w przewidywalnej przyszłości PiS nie ma szans zmienić legalnie ustroju w Polsce. I to jest pierwsza bardzo dobra wiadomość dla wszystkich polskich demokratów. Ta wiadomość jest o wiele ważniejsza od chwilowego przejęcia Senatu przez opozycję, który może utrudnić Kaczyńskiemu życie, ale nie uniemożliwi mu rządzenia. Nie oznacza to pewności, że PiS nie zdecyduje się na zamach na system drogą nielegalną – momentem, w którym takie próby możemy obserwować

będzie okres bezpośrednio po ewentualnym zwycięstwie Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich. Jednak koszty takiego działania wbrew woli w zasadzie 50% społeczeństwa oraz całej zachodniej społeczności europejskiej, wydają się być dla Kaczyńskiego zupełnie nieracjonalne do poniesienia.

Wydaje się zatem, że w przewidywalnej przyszłości PiS nie ma szans zmienić legalnie ustroju w Polsce. I to jest pierwsza bardzo dobra wiadomość dla wszystkich polskich demokratów

2. Problemy z abecadłem skutecznych kampanii

Partie demokratyczne, z Platformą Obywatelską na czele, nie potrafią wyjść z defensywy od momentu odejścia z funkcji przez Donalda Tuska. Jeśli zaczniemy analizować podstawowe, podręcznikowe czynniki, na których opiera się zwycięską obecność w kampaniach wyborczych, łatwo dowiemy się, że główna partia opozycyjna nie spełniła żadnego z nich. To, że partie opozycyjne osiągnęły tak dobry rezultat miało miejsce wbrew podręcznikowym błędom. Z czego musi składać się każda skuteczna kampania wyborcza:

- Narracja, nadzieja i program – czyli po co startujemy?

W kroku pierwszym trzeba umieć w krótki i prosty sposób opowiedzieć, za jaką wizją kraju opowiada się dane ugrupowanie polityczne oraz przedstawić program, który da obywatelom nadzieję na zmianę, która ich interesuje. Nie należy mylić przepastnego, wielostronicowego dokumentu z programem, który jest potrzebny w kampanii wyborczej. Taki program powinien składać się z trzech krótkich i ważnych dla grup docelowych partii punktów, powinien być powtarzany do znudzenia, tak aby każdy – nawet „u cioci na imieninach po kilku głębszych" – nie miał problemu z zacytowaniem, co partia chce zrobić po wyborach. Tak jak wszyscy bez zająknięcia cytują 500+. Czy ktoś z Państwa pamięta jeszcze co zawierała „Szóstka Schetyny"? Podczas jednej z audycji nie pamiętał tego na antenie nawet sam lider partii.

Program negatywny, powstrzymanie złych zmian czyli od miesięcy esencja przekazu PO, może być dodatkiem, ważnym elementem mobilizującym, ale nie może stanowić jedynego uzasadnienia istnienia w przestrzeni publicznej. Jednocześnie program i przedstawiający go ludzie muszą być wiarygodni, muszą dać szansę abyśmy mogli uwierzyć w ich słowa.

Photo by Jon Tyson on Unsplash

- Wiarygodny lider – czyli komu możemy zaufać, za kim podążać?

To kolejna „oczywista oczywistość". Na temat postrzegania Grzegorza Schetyny nawet przez jego własnych wyborców powiedziano i zbadano już chyba wszystko. Schetyna być może ma wiele wartościowych cech, ale nie może być inspirującym liderem ruchu politycznego. Jednocześnie czasem zapominamy, że z liderami lewicy nie jest wiele lepiej, vide wiarygodność i ideowość Włodzimierza Czarzastego czy skrajne, odpychające większość wyborców poglądy Adriana Zandberga. Zmiana przywództwa w Platformie

Photo by Emily Morter on Unsplash

wydaje się dziś sprawą oczywistą. Jeśli do niej nie dojdzie, partia wejdzie w fazę ostatecznego gnicia i prawdopodobnego rozpadu – co, biorąc pod uwagę zasoby i struktury tej partii, byłoby niewybaczalnym błędem dla przyszłości naszego kraju. Również Lewicę czeka ważny test. Teoretycznie ma ona wszelkie papiery, aby skutecznie wygrywać dla siebie miejsce na scenie politycznej. Żeby tak się jednak stało powinno dojść do skutecznego zjednoczenia SLD, Wiosny i Razem w jeden organizm partyjny. A z czasem na jej czele musi stanąć jeden wyraźny lider lub liderka.

Nie wiem czy Tusk wróci jako zwycięzca na białym koniu. Uważam, że jest liderem tego formatu, że jeśli zdeterminowany przystąpiłby do wyścigu prezydenckiego, mógłby odwrócić bieg historii. Wiem też, że wciąż jest w wieku najlepszym dla polityka, a jego temperament nie do końca pasuje do politycznego emeryta. Z drugiej strony musiałby zaryzykować cały swój polityczny dorobek możliwością poniesienia dotkliwej porażki. Czy jednak tym bardziej właśnie takim ruchem nie wzbudziłby naszego szacunku? Hamletyzowaniem nie da się już niczego osiągnąć. Skuteczny polityk, to polityk zdeterminowany.

Nie wiem czy Tusk wróci jako zwycięzca na białym koniu. Uważam, że jest liderem tego formatu, że jeśli zdeterminowany przystąpiłby do wyścigu prezydenckiego, mógłby odwrócić bieg historii

Na całym świecie mamy do czynienia z postępującym zjawiskiem upersonalnienia polityki. Osoba lidera staje się dla wyborców konstruktem coraz istotniejszym, niezależnie od faktów, czyli tego na ile ów lider zajmuje się głównie autokreacją, byciem twarzą danego ugrupowania, a na ile budowaniem czegokolwiek realnego. To kluczowe pytanie czy publiczny lider potrafi tworzyć wokół siebie zespół, który potrafi faktycznie za niego budować i rządzić. Ale wygrywanie wyborów bez konstruktu lidera uosabiającego cały ruch polityczny staje się coraz trudniejsze, żeby nie powiedzieć niemożliwe.

Oczywistym jest też, że dopóki w opozycji nie pojawi się lider wielkiego formatu, następca Donalda Tuska czy Aleksandra Kwaśniewskiego z ich najlepszych lat, dopóty opozycja będzie w permanentnych kłopotach.

- Skuteczna narzędziowo kampania

To również wydaje się oczywiste. Żeby wygrać kampanię trzeba mieć świetnie zaprojektowane narzędzia: spoty, widoczną i estetyczną reklamę outdoorową, dobrze stargetowaną maszynę do

reklamy w social mediach. To, co możemy powiedzieć o kampanii partii opozycyjnych to fakt, że były nijakie, nic z nich nie zostało w naszych głowach. Żeby wygrać kampanię trzeba mieć też bardzo dokładny plan geograficzny, orientować się gdzie należy walczyć o to, aby zdobyć decydujących wyborców. Natomiast nie trudno było odnieść wrażenie, że kampania Koalicji Obywatelskiej była prostym pospolitym ruszeniem, które walczyło o głosy tam, gdzie dany kandydat sam uznał to za stosowne. Podczas ostatniej kampanii jeździłem trochę po prowincji, rozmawiałem też w wieloma osobami z innych regionów Polski. Opozycja odpuściła tzw. Polskę B, wsie i małe miasta – tam dominacja PiS była miażdżąca. To wieki błąd, bo tam wciąż mieszka decydujące kilka procent osób, które można przekonać do głosowania na opozycję. To jednak wymaga odgórnego, precyzyjnego planu kampanii, w którym kandydaci zamiast skupiać się na odbijaniu między sobą „własnych" wyborców, musieliby ruszyć na trudne tereny. Nie twierdzę, że takie działania nie były prowadzone, ale ich skala i skuteczność były zdecydowanie za małe.

3. Wiarygodność i przyzwoitość

Jeśli Donald Tusk zdecyduje się na start w wyborach prezydenckich, ostry spór między nim a obozem władzy kompletnie zdominuje najbliższe pół roku i uważam, że środowiska sprzyjające opozycji powinny zrobić wszystko, aby wówczas Tuskowi pomóc. Pytanie o to „Co dalej?" będzie więc dość proste. Wszystkie ręce na pokład!

Jeśli jednak, co bardziej prawdopodobne, Tusk nie zdecyduje się na powrót, wówczas dylematy będą o wiele poważniejsze. Kluczowy będzie oczywiście wybór nowego lidera Platformy Obywatelskiej, trwałe zjednoczenie Lewicy oraz osoba głównego kandydata opozycji w wyborach prezydenckich. Ale wielkim wyzwaniem pozostanie pytanie na jakim fundamencie budować przyszłość opozycji. Wybitny i bardzo ważny dla środowiska Platformy Obywatelskiej człowiek, Władysław Bartoszewski powiedział kiedyś bardzo prostą rzecz: „Gdy nie wiesz jak się zachować, zachowaj się przyzwoicie". W kolejnych krokach na swoich liderów trzeba wybrać tych, którzy nie budzą wątpliwości co do swojej przyzwoitości i uczciwości, tych, których osobowości pozwalają by im zaufać, by w nich uwierzyć. Tych, którzy nie będą kluczyć i kalkulować, ale będą potrafić jasno i wiarygodnie mówić o co walczą.

Nowy Sejm to też wiele zupełnie nowych twarzy w szeregach opozycji. Niewykluczone, że na ławach sejmowych zasiądzie za chwilę grupa osób, która w obliczu kolejnych błędów swoich partyjnych dinozaurów, zupełnie wywróci dynamikę sił w opozycji i sprawi, że już za rok osie naszych dyskusji o opozycji będą wyglądać zupełnie inaczej. Szczególnie w przypadku, w którym zwycięstwo Dudy i możliwe nielegalne „przyspieszenie" wprowadzania zmian ustrojowych przez PiS jesienią przyszłego roku będzie wymagać od opozycji zupełnie niestandardowych działań w obronie polskiej demokracji. ◉

BŁAŻEJ LENKOWSKI
Politolog, publicysta, prezes zarządu Fundacji *Liberte!*.

WIZJA, ELEKTORAT, PRZYWÓDZTWO

PIOTR BENIUSZYS

Widząc bardzo niejednorodną programowo opozycję, która mogłaby w najlepszym razie stworzyć chybotliwą i targaną destabilizującymi konfliktami koalicję, ludzie wybrali jedyną dostępną ekipę politycznie zwartą, dającą pewne nadzieje na możliwość nieinteresowania się polityką na co dzień.

Photo by Javier Allegue Barros on Unsplash

Wybory parlamentarne AD 2019 nie za wiele zmieniły w sytuacji politycznej Polski. Gdy zatem pada pytanie „Co dalej?", ta pierwsza, niezbyt ekscytująca konstatacja narzuca się sama przez się. To swoisty paradoks, gdy wrócimy pamięcią kilka tygodni wstecz i przywołamy kampanijne wezwanie opozycji do udziału w „najważniejszych wyborach od 1989 roku". Wybory przetoczyły się, wielkie emocje wybrzmiały, wiekopomne deklaracje padły, a Polki i Polacy wydali werdykt na rzecz trwania. Co prawda odebrali partii władzy Senat, ale wynikiem świadczącym raczej o przypadkowości, niż o zamyśle. Można nawet pokusić się o hipotezę, że dokonali wyboru racjonalnego. Widząc bardzo niejednorodną programowo opozycję, która mogłaby w najlepszym razie stworzyć chybotliwą i targaną destabilizującymi konfliktami koalicję, wybrali jedyną dostępną ekipę politycznie zwartą, dającą pewne nadzieje na możliwość nieinteresowania się polityką na co dzień. Równocześnie dali tej ekipie czytelną żółtą kartkę, nie powiększając jej przewagi w Sejmie, dając co najwyżej remis w Senacie i to pomimo powszechnie radujących naród transferów socjalnych i wielomiliardowego zaangażowania mediów państwowych i takowych spółek we wspieranie politycznej kampanii PiS. Eliminacja przez elektorat PiS twarzy zamachu ustrojowego na wymiar sprawiedliwości, Stanisława Piotrowicza, z pocztu posłów RP jest symbolem tych wyborów – wielu wyborców PiS ma dość radykalnego kursu i nieustannej awantury. Zaś ich najbardziej doniosłym skutkiem będzie zachowanie rządowej odpowiedzialności w latach dekoniunktury przez to samo ugrupowanie, które zawiadywało finansami naszego państwa w „tłustych" latach 2015-19. W efekcie w roku 2023 wyborca będzie miał więcej danych, aby trafniej ocenić zdatność tych polityków do trzymania w dłoniach sterów państwa. Dopiero wówczas bilans „dobrej zmiany" ujawni się w pełni.

Wizja – czyli po co rządzić?

Jakie wnioski z wyniku wyborów może wyciągnąć opozycja? Lewica i zmieniające się z partii agrarnej w chadecką PSL mogą wyciągnąć wniosek dość prosty: mają one trwałe miejsce na polskiej scenie politycznej i są polskim wyborcom potrzebne, jako ugrupowania małe lub średnie, które w przyszłości gotowe są pełnić funkcje mniejszych koalicjantów. Potencjalnie. Główna siła polskiej opozycji jednak, od której w największym stopniu zależeć będzie osiągnięcie zmiany politycznej, o ile zechce wyjść poza *good-feel* narrację spod znaku „sukcesy są zasługą Schetyny/porażki powodują różni Jażdżewscy", będzie musiała przyznać, że jest w przysłowiowym polu i bez radykalnej zmiany logiki działania nie będzie zdolna zbudować alternatywnej koncepcji rządzenia krajem nawet w przypadku klęski PiS w najbliższych 4 latach. Owszem, władza może czołówce PO po prostu wpaść w ręce, ale gdyby stało się to w obecnym układzie politycznych wpływów wewnątrz

tej partii, to jej rządy stanęłyby pod znakiem restauracji i dryfu. Jest jasne, że celem numer 1 potencjalnych rządów KO i partnerów byłaby restauracja ładu ustrojowego opartego na konstytucji oraz cofnięcie skutków nielegalnych działań, zwłaszcza w sferze wymiaru sprawiedliwości. Podjęto by zapewne próbę (pytanie na ile udaną) naprawy najbardziej drastycznych zaniedbań w oświacie i ochronie zdrowia. Poza tym trudno jednak dostrzec zarys centrowo-liberalnej wizji Polski przyszłości. Istnieje obawa, że tym pomysłem jest 4-, 8-, czy nawet 12-letnie administrowanie Polską o kształcie z roku 2015, z jedną jedyną korektą w zakresie polityki socjalnej, opartą na deklaracji „nic, co zostało dane, nie będzie odebrane".

To jednak o wiele za mało, aby uzasadnić pretensje KO do sprawowania władzy. Tak przynajmniej ocenia to statystyczny wyborca, który nie podziela poglądu jej liderów o doniosłości zagrożeń, związanych z destabilizacją państwa prawnego przez PiS. Centrowa opozycja stoi przed trudnym, podwójnym wyzwaniem. Po pierwsze, musi przemyśleć po co (oprócz restauracji ustrojowej) chce przejmować władzę. Spojrzeć na to nie po prostu według logiki „jesteśmy partią polityczną i naszym naturalnym zadaniem jest dążyć do przejęcia władzy". To jasne, ale wymagania są wyższe. Potrzeba nakreślić wizję Polski 2030 roku. Dokonać kilku fundamentalnych wyborów, których nie można bez końca odkładać. Czy polskie społeczeństwo ma być liberalne obyczajowo, jak inne w Europie zachodniej, czy przyjmujemy inny model, łączący konserwatyzm moralny z nowoczesnością technologiczną? Czy polskie społeczeństwo ma być wielokulturowe, czy usilnie walczymy o zachowanie możliwej homogeniczności etniczno-kulturowej? Jaką strategię przyjmujemy wobec wyzwań demograficznych? Jak głęboko angażujemy się w kolejne fazy integracji europejskiej i z jaką agendą włączamy się w debatę na ten temat? Jakie geopolityczne decyzje przyjmujemy w odniesieniu do polityki bezpieczeństwa naszego kraju w obliczu potencjalnej deterioryzacji współpracy atlantyckiej? Jak balansujemy pomiędzy celami racjonalnej polityki gospodarczej a potrzebami obywateli w zakresie polityki socjalnej? Jak wspieramy polski kapitał ludzki w przeniesieniu polskiej gospodarki na wyższy poziom rozwoju i jak osiągamy cel wyższego poziomu płac przy niższym nakładzie pracy? Jak przygotowujemy się do zaspokojenia potrzeb coraz liczniejszych pokoleń seniorów?

W roku 2023 wyborca będzie miał więcej danych, aby trafniej ocenić zdatność tych polityków do trzymania w dłoniach sterów państwa

Photo by Jehyun Sung on Unsplash

Jak zmieniamy polską debatę publiczną i usiłujemy przywrócić zdolność liderów politycznych do skutecznego przekonywania obywateli do konieczności choć niektórych trudnych reform? W jaki sposób poszukujemy płaszczyzny dialogu i szans na załagodzenie ostrego konfliktu politycznego z naszymi rodakami popierającymi PiS? To tylko próbny wycinek wyzwań i problemów.

Elektorat – czyli dla kogo rządzić?

Zadanie centrowej opozycji jest trudne, ponieważ nie wystarczy jej tylko nakreślić atrakcyjnej wizji Polski niedalekiej przyszłości i zbudować wiarygodny program realizacji tych celów. To zadanie, jak powiedziano, podwójne, ponieważ jego elementem będzie przekonanie własnego elektoratu do tego, że są to cele nie abstrakcyjne, nie drugorzędne w stosunku do celu pokonania Kaczyńskiego, a fundamentalne. Że Kaczyńskiego pokonać trzeba nie po to, aby jemu i jego ludziom zrobić przykrość i się na nich odegrać, nie tylko po to (acz również po to), aby przywrócić państwo prawne, ale dlatego, że cele rozwojowe Polski to klucz do dobrobytu naszych dzieci, a PiS nie jest partią, która tak zakrojone cele chce realizować. To właśnie dlatego opozycja musi odsunąć PiS od władzy, to musi ją od PiS odróżniać i to do tak pojętej misji polityki trzeba przekonać większość wyborców.

Photo by Markus Spiske on Unsplash

Będzie to niestety arcytrudne. Nie generalizując – ponieważ oczywiście elektorat KO jest bardzo zróżnicowany, zarówno pod względem pokoleniowym, jak i poziomu życia – ale zbyt wielka jego część nie dostrzega powodów podejmowania przez rządy Polski żadnych większych wyzwań. Nadal zbyt duże wpływy ma sposób myślenia pokolenia przełomu 1989 r. Według tej logiki Polska już dokonała dość dużo. Obaliła komunizm w Europie, uratowała gospodarkę ze stanu całkowitej zapaści, zbudowała nowoczesne państwo liberalno-demokratyczne, które – przynajmniej od strony formalnych struktur – wypełnia europejskie standardy, wstąpiła do NATO i Unii Europejskiej. To wystarczy, żadne wielkie wyzwania już przed nami nie stoją, możemy spocząć na tych wspaniałych laurach i korzystać z wypracowanych dóbr, zwłaszcza, że należymy raczej do tych, którzy w III RP sobie poradzili. Oczywistą konsekwencją tych doświadczeń i tego spojrzenia na rzeczywistość jest przyjęcie z radością tezy, że następnym etapem jest wyłącznie epoka „ciepłej wody w kranie", korzystania z funduszy europejskich, życia wygodnego, spokojnego, zorientowanego na sprawy prywatne.

Nawet teraz, po doświadczeniu ostatnich 4 lat, bardzo wielu wyborców liberalnych w Polsce tak myśli. Oczywiście zamach PiS na państwo prawa zmienił tą optykę w tym sensie, że przywrócenie ładu ustrojowego liberalnej demokracji jest koniecznym do wykonania zadaniem i będzie to właśnie takie trudne i przełomowe zadanie, co do których do 2015 roku myślano, że przeszły do historii. Jednak jest to postrzegane jako swoisty wyjątek. Anomalia, która jest skutkiem skandalicznej polityki rządu PiS. Musimy to zrobić, jako korektę. Gdyby jednak udało się jej dokonać, to powrót „ciepłej wody w kranie" byłby pożądany i oczywisty. Nic więcej nie trzeba robić, tylko trwać. Emocji centrowego elektoratu w Polsce nie rozpala ani przyjęcie euro, ani debata o przyszłości UE, ani strategie na rzecz innowacyjnej gospodarki, ani wyzwania klimatyczne. Ani w zasadzie nic innego. Tylko Kaczyński. Odsunięcie Kaczyńskiego, posprzątanie po nim, a następnie niedopuszczanie go z powrotem do władzy, to miałyby być zasadnicze trzy cele rządów KO zdaniem wielu jej wyborców. Taki elektorat ukształtowała praktyka 8 lat rządów PO-PSL, a następnie doskonale podsycały to nastawienie rządy Grzegorza Schetyny w PO. Tak niemrawy wyborca zaakceptuje więc nawet teraz zachowanie przez Schetynę przywództwa w partii po klęsce wyborczej 2019 roku.

Czy polskie społeczeństwo ma być liberalne obyczajowo, jak inne w Europie zachodniej, czy przyjmujemy inny model, łączący konserwatyzm moralny z nowoczesnością technologiczną?

W demokracji narzekanie na wyborców jest tabu. To nonsens. Zasługują oni na krytykę, tak jak wszyscy inni aktorzy życia publicznego w naszym kraju. Wyborcy PiS często są ostro krytykowani, jako intelektualnie słabi, podatni na prymitywną manipulację w stylu TVP, skłonni „sprzedać" wartości za transfery socjalne, bezkrytycznie stojący na każdy rozkaz proboszcza i biskupów, groteskowo wsteczni, bojący się świata i wszystkiego, co nowe i nieznane. Te zarzuty pod ich adresem często formułują ci sami wyborcy opozycji, których sposób myślenia nakreśla poprzedni akapit. Tymczasem sami mają swoje wady. Lenistwo obywatelskie, marazm, niechęć wobec angażowania się w życie publiczne. Do porzucenia tego „słodkiego, miłego życia" zmusił ich dopiero po jesieni 2015 Kaczyński i chyba tego najbardziej nie mogą mu wybaczyć. Chcieli wierzyć, że utopia Fukuyamy spełniła się w III RP 2015. Koniec polskiej historii. Nie chcieli wierzyć, że świat się radykalnie zmieni w XXI wieku i przed Polską stoją trudne czasy, fundamentalne decyzje, których konsekwencje wpłyną na jakość życia kolejnych dwóch, trzech pokoleń. Tymczasem wystarczyło 235 posłów PiS, aby pogrzebać cały ich świat.

Aby w przyszłości nie spełniła się wizja Polski autorstwa PiS, trzeba raz na zawsze odrzucić

filozofię „ciepłej wody w kranie". Potrzebny jest liberalny „backlash", który przesunie wahadło w tak od wizji PiS odległe przestrzenie, aby ewentualny powrót tej partii do władzy – jeśli już miałby nastąpić – był dla prawicy czasem nadrabiania niepowetowanych strat, zadanych ich wizji Polski przez rządy liberalno-lewicowe. A nie wygodnym powrotem do realizacji co prawda przerwanej agendy, ale jednak na bazie wcześniejszych osiągnięć, które najzwyczajniej przetrwały okres nieposiadania władzy. Błędy w rodzaju utrzymania naboru z czasów PiS na newralgicznych stanowiskach w służbach specjalnych, w prokuraturze, w mediach, nie mogą mieć miejsca. Rządy opozycji muszą wykorzystać istny impet zmian poglądów młodych Polaków na wiele spraw obyczajowych w kierunku poglądów liberalnych i dać temu trendowi wyraz w ustawach. Wprowadzić małżeństwo dla wszystkich; wprowadzić ustawę antyaborcyjną wzorowaną na ustawach wszystkich innych państw UE (poza Maltą); wprowadzić obowiązkowe lekcje etyki; kontrolować treści nauczane na katechezie katolickiej pod kątem szerzenia nienawiści wobec grup społecznych; ograniczyć przywileje hierarchów Kościoła i prowadzić realne działania policji i prokuratury przeciwko domniemanym przestępstwom osób stanu duchownego; wprowadzić obowiązkowe kształtowanie postaw młodych Polek i Polaków w duchu krzewienia tolerancji wobec osób innych ras, religii, światopoglądów, orientacji seksualnych; podjąć stanowcze działania wobec środowisk skrajnej prawicy i rozbijać środowiska, pielęgnujące myśl polityczną totalitaryzmu.

Przywództwo – czyli jakimi kadrami rządzić?

Środowiska szeroko pojętej polskiej centroprawicy-centrum-centrolewicy zaniedbały przez 25 lat funkcjonowania III RP przede wszystkim jedną rzecz – budowę etosu własnego państwa, poczucia przywiązania obywateli nie tylko do symboli narodowych i dawnej, zwykle martyrologicznej historii, ale do historii najnowszej, okresu założycielskiego III RP. Z wartościami ruchu Solidarności: pokojową walką; nienaruszalnością godności ludzkiej; orientacją na dialog i kompromis (nawet w sytuacji posiadania po swojej stronie moralnej przewagi); przywiązaniem do idei wolności człowieka; odrzuceniem totalitaryzmu i paternalizmu; postawą „jeden drugiego brzemiona noście". W Gdańsku codziennie widzimy, jak ludzie z całego świata zachwycają się postawą Polek i Polaków w tamtych pięknych, gwiezdnych momentach naszej historii. A my zamiast uczyć tego nasze dzieci, powiązać je z tym emocjonalnie, trwale i na całe życie, uczyliśmy je o rozbiciu dzielnicowym, kontrreformacji i powstaniu styczniowym. Wszystko, co mój 12-letni dziś syn wie o Solidarności i upadku PRL, wie ode mnie. Serio, Polsko?

Wszystko, co mój 12-letni dziś syn wie o Solidarności i upadku PRL, wie ode mnie. Serio, Polsko?

Skoro jednak przespaliśmy moment, w którym dzieje lat 1980-89 nadawały się na materiał do budowy etosu państwa w sercach i duszach obywateli, to dzisiaj trzeba ze smutkiem zauważyć, że za późno jest, aby młodych ludzi zmobilizować do stanięcia po stronie wolności i liberalnej demokracji, przywołując spuściznę Solidarności. Należy to oczywiście mimo to robić, nadrabiać zaległości, za 20 lat to może przynieść jeszcze jednak odpowiednie owoce. Współczesne pokolenie poniżej lat 40 w większości obojętnie i bez emocji reaguje na te nawiązania. To oznacza, że pokolenie obecne w polityce od roku 1989. musi pogodzić się z tym, że sam jego dorobek i jego życiowe osiągnięcia, nie są już wygrywającym argumentem w politycznych sporach. Są kojarzeni z nieco inną epoką, bardziej konserwatywną, gdy nawet liberalni politycy akceptowali ochoczo aktywną rolę Kościoła w polityce. Dzisiaj wyborcy nie-PiS, którzy mają takie oczekiwania, są w stanie zaniku. Jeśli ktoś jest w polityce nieprzerwanie od 1989 roku i chce być w przyszłości politykiem znaczącym po stronie liberalnej, to wymaga to daleko idących przewartościowań w światopoglądzie. Nie wszyscy liderzy KO tą pracę wykonali. Żywym dowodem do tej tezy jest koncepcja „kotwicy konserwatywnej" i sytuacja, w której liderzy centrowego obozu politycznego mają bardziej

Photo by JOHN TOWNER on Unsplash

konserwatywne poglądy od jego wyborców. Z roku na rok ta sytuacja staje się coraz bardziej anachroniczna i nie może być dużo dłużej podtrzymywana.

Praca nad centrowo-liberalną wizją Polski 2030 to zadanie długofalowe. Pierwszym, krótkofalowym krokiem otwierającym tą nową epokę w dziejach politycznego centrum powinna być jednak zmiana pokoleniowa na szczytach KO. Czasy Grzegorza Schetyny i jego zauszników powinny się najpóźniej w przyszłym roku zakończyć. Aby zainspirować centrowy i liberalny elektorat ekscytującą wizją nowych wyzwań na miarę XXI w. potrzebni są przywódcy, którzy uosabiają ducha tych czasów, którzy mogą być twarzą przemian w dziedzinie troski o klimat i środowisko naturalne, nowego podejścia do usług publicznych na miarę coraz większych oczekiwań obywateli, nowoczesnego państwa, polityki sieci, wolności jednostki w zachodnioeuropejskim stylu, równości płci, ochrony sfery życia prywatnego, aspiracji ludzi młodych, urodzonych grubo po roku 1989. Nie jest trafnym argumentem na rzecz przedłużania mandatu dla drużyny Schetyny przykład Kaczyńskiego, jeszcze starszego i mniej nowoczesnego lidera konkurencyjnego obozu politycznego. Wyborcy PiS mają zupełnie inne oczekiwania i inne wyobrażenia na temat odpowiedniego stylu i treści przywództwa. Pomijając już fakt, że elektorat prawicy jest średnio wyraźnie starszy niż wyborcy centrum, to Kaczyński, nawet jeśli postrzegany jako dinozaur, jest w tamtym świecie traktowany jako powszechnie uwielbiany i podziwiany dinozaur. Schetyna w oczach wyborców liberalnych jest jedynie dinozaurem irytującym, nad którym coraz częściej przychodzi załamywać ręce.

Wizja Polski. Przemiana elektoratu. Zmiana przywództwa. Oto trzy wielkie zadania przed reprezentacją liberalnego centrum w polskiej polityce. Arcytrudne, najtrudniejsze z wyzwań. Od tego, w jakim stopniu uda się je skutecznie podjąć, zależy nie tylko to, jak długo przyjdzie poczekać na odsunięcie PiS od władzy. W jeszcze większym stopniu zależy od tego jakość przyszłych rządów KO wraz z koalicyjnymi partnerami. A od tego z kolei los Polski za 10, 20 lat. ●

PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, mieszka w Gdańsku. Członek zespołu redakcyjnego i autor licznych publikacji w Liberté!. Specjalizuje się w tematyce ewolucji myśli liberalnej oraz w historii zachodnioeuropejskich partii liberalnych.

„Tak umierają demokracje"

Dwa lata temu książka tego typu nie powstałaby: dwójka wiodących politologów, ekspertów w zakresie kryzysów demokracji w różnych częściach świata, wykorzystuje swoją wiedzę do tego, by uświadomić Amerykanom zagrożenia, przed jakimi obecnie stoi ich własny system polityczny.

Francis Fukuyama

Levitsky i Ziblatt to wiodący badacze systemów demokratycznych, opisują przykłady z wielu zakątków świata, z ogromnym zapałem i uczciwością wykorzystują swoją wiedzę do analizowania bieżących problemów, z jakimi borykają się Stany Zjednoczone. (...) Dzięki temu Czytelnik nie tyko odczuwa intelektualne podekscytowanie, lecz także jest świadom zawartej w tej książce politycznej przestrogi.

Timothy Snyder

BIBLIOTEKA LIBERTÉ!

L!

Kup bezpośrednio: sklep.liberte.pl

WYIMEK Z POLSKIEGO ALFABETU

MAGDALENA M. BARAN

Będziemy mieli, bo już mamy, tych, co – niczym nietzscheański człowiek oszalały – z zapaloną latarnią wyjdą na rynek miasta w jasny dzień… Nie będą jednak wołali „Szukam Boga, szukam Boga!" Po imieniu wzywać będą inną ideę, bliską, a na pozór daleką… Ideę w swej istocie przypominającą splątane pod ubitą ziemią korzenie, tkwiące jednak tak głęboko, że prawdy o nich nikt od dawna nie zauważył.

Photo by Felix Mittermeier on Unsplash

Nie pragnę wcale byś była wielka
Zbrojna po zęby od morza do morza
I nie chcę także by cię uważano
Za perłę świata i wybrankę Boga…

/Moja litania, Leszek Wójtowicz/

Od tygodni niczym mantrę powtarzamy dwa słowa „Co dalej?" Pytanie to zawisło nad środowiskami intelektualnymi, nad publicystami, akademikami, co próbują rysować mniej czy bardziej sensowne scenariusze, nad kolejnymi grupami zawodowymi (ale też grupami interesów), zastanawiającymi się nad potencjalnymi kierunkami rozwoju (lub tempem zwijania), czy w końcu (*last but not least*) nad samymi politykami, z których każdy ciągnie w swoją stronę opowieść nazywaną Polską/polską. Próbujemy – tak, my też – przyciągnąć do siebie jak najwięcej racji, logiki, ba, nawet złudy racjonalności, podczas gdy właściwe pytanie zdaje się być gdzie indziej. Nie idzie bowiem o opozycyjny lament nad rozlanym mlekiem (bo że się wylało jesteśmy raczej zgodni), ani o smętne biadolenie, że oto przez następne cztery lata (zakładając scenariusz realistyczny) przyjdzie nam wypijać piwo, w którego warzeniu mieliśmy swój udział. Nie idzie nawet o dramatyczne rozrywanie szat nad potencjalnymi scenariuszami kolejnych zamachów obozu władzy na instytucje, wolności i prawa. Te ze sporym prawdopodobieństwem się wydarzą, niekoniecznie wyrywając z błogiej socjalnej drzemki nawet naszych co rozsądniejszych współbraci. Nie idzie również o scenariusze obrony, planowanie protestów, przygotowywanie dokumentów, którymi przed zakusami złego będziemy bronić się przed kolejnymi europejskimi trybunałami czy komisjami. To wszystko – jakkolwiek upiorna to opcja – i tak się wydarzy. Będziemy zatem mieli protestujących, ale i w pełni profesjonalnych obrońców, którzy pozwolą nam zachować choć odrobinę narodowego honoru, albo zwykłej przyzwoitości, poczucia, że nie całkiem schrzaniliśmy. Będziemy również mieli, bo już mamy, tych, co – niczym nietzscheański człowiek oszalały – z zapaloną latarnią wyjdą na rynek miasta w jasny dzień… Nie będą jednak wołali „Szukam Boga, szukam Boga!" Po imieniu wzywać będą inną ideę, bliską, a na pozór daleką… Ideę w swej istocie przypominającą splątane pod ubitą ziemią korzenie, tkwiące jednak tak głęboko, że prawdy o nich nikt od dawna nie zauważył.

Bo jak to możliwe, że naród, który trzydzieści lat temu wytyczał ścieżki ku wolności, tak łatwo się z nią rozstaje? Pstryk… i już? Tak po prostu? O co pokłóciliśmy się najmocniej? Co pozwoliliśmy rządzącym zawłaszczyć tak dalece, że w dyskursie publicznym niemal odebrali całej reszcie (tu podstaw dowolne określenie z listy Prezesa) nawet ciche wymawianie słów takich, jak polskość czy ojczyzna? W szkole – obojętnie w której i w jakiej Polsce – niemal każdemu musiał obić się o uszy wiersz Jana Kasprowicza. I… jakie to proste… „Rzadko na moich wargach/Niech dziś to warga ma wyzna/Jawi się krwią przepojony,/

Photo by Kyle Ellefson on Unsplash

Najdroższy wyraz: Ojczyzna./Widziałem, jak się na rynkach/Gromadzą kupczykowie,/Licytujący się wzajem,/Kto Ją najgłośniej wypowie./Widziałem, jak między ludźmi/Ten się urządza najtaniej,/Jak poklask zdobywa i rentę,/Kto krzyczy, iż żyje dla Niej./Widziałem, jak do Jej kolan/ Wstręt dotąd serce me czuje /Z pokłonem się cisną i radą/Najpospolitsi szuje". Pamięta ktoś? Bo scenariusz brzmi znajomo. Czy nie jest tak, o czym po raz kolejny boleśnie przekonują nas obchody kolejnych świąt państwowych, że owa „ojczyzna" w znacznej mierze stała się zakładniczką, by nie rzec ofiarą, jednej strony politycznej/wspólnotowej rzeczywistości, podczas gdy druga w jakimś sensie dała się z niej wyrugować? Licytowanie się na najgłośniejsze, najdonioślejsze, najuniżeńsze (wobec wybranych wycinków historii), najmocniej „patriotyczne", „najprawdziwiej polskie" stało się domeną prawej strony, wspartej przez elementy religii (kiedyś zwanej toruńską, dziś zataczającej znacznie szersze kręgi) oraz rozmaitych krzykaczy, w których duszach płonie „święty ogień" wykluczenia, nietolerancji, ksenofobii, a czasem – co straszne – najzwyklejszej (sic!) nienawiści. „Najpospolitsze szuje", kryjące się za „zasłonami flag i transparentów", uzurpują sobie prawo by być dla Polski „mózgiem i sumieniem"... A co my na to? Co my, ta druga, wcale nie gorsza, ale po prostu ideowo inna strona, możemy/mamy na to wszystko powiedzieć, gdy każda obrona interpretowana i przedstawiana jest jako atak na tożsamość owej Najjaśniejszej?

„Najpospolitsze szuje", kryjące się za „zasłonami flag i transparentów", uzurpują sobie prawo by być dla Polski „mózgiem i sumieniem"... A co my na to?

Patrzeć z boku aż burza przeminie – powiedzą niektórzy. Ale tak nie można, tak się nie da, bo rzeczywistość, bo polskość, najpierw zawłaszczona, a dalej przekształcana przez dzisiejszych „urzędowych patriotów" wcześniej czy później o każdego się upomni (bo... dyskusje w pracy, rozmowy przy rodzinnym stole, nauki, które w szkole usłyszą dzieci czy wnuki, marsze i pochody, utarczki w autobusie czy tramwaju, mniejsze czy większe wykluczenia etc). Bo w różnych miejscach „ideologia" wymagać będzie swoistego akcesu do narracji polskościowej bzdury, a nie każdy ma siłę, odwagę czy umiejętności by raz za razem wybierać los *outsidera*. „Urzędowi patrioci" przenikają bowiem tam, gdzie jeszcze niedawno trudno by się ich było spodziewać,niemal „wyskakują nam z lodówki".... Bo co myśleć gdy autobus komunikacji publicznej, w jednym z największych polskich miast, cały tył ma obklejony wielkim banerem

z Maryją, co „modli się za Polskę"? Gdy tęcza nie jest już starotestamentalnym symbolem nadziei, ale znakiem „zarazy"? Gdy w „narodowej autentyczności" prym zdają się wieść, punktowane przez Ryszarda Kapuścińskiego, trzy plagi/zarazy: nacjonalizm (obecny), rasizm (a jakże) i religijny fundamentalizm (coraz trudniej zaprzeczyć)?

Z drugiej strony szeroko rozumiana opozycja – nie tylko polityczna, ale i społeczna czy intelektualna – nie może bawić się w liczenie szabel, ani wdawać się w debaty z cyklu: „Kto z nami, kto przeciw nam", albo biadolić o tym, że „Jest źle, a będzie gorzej". To już przerabialiśmy... i doskonale wiemy dokąd nas to zaprowadziło. Po zimnym prysznicu czas otrząsnąć się i zawalczyć... Na początek o nas, myślących wolnościowo, wiedzących, że łyk wolności i bieganie na krótkiej smyczy byłoby dla nas zabójcze. Sklejamy się, zszywamy, a w jedności różnorodności, a nawet przeciwieństw „robimy" z siebie polski patchwork, pozwalający pozornie nieprzystającym czy niemożliwym do pożenienia elementom zaistnieć jako całość, jako wartość, jako szansa. *Si vis pacem para bellum* pouczali starożytni (a wierzcie, na tym się trochę znam)... A skoro, przynajmniej w wymiarze ideologicznym owa wojna toczy się o zawłaszczoną polskość i zakłamany patriotyzm, to może ten obszar symboliczny sami dla siebie musimy najpierw odkłamać. Czyniąc to, sięgając po dwa „słowa", po jedną tylko literę alfabetu, poszukując nie upupiającej definicji, ale różnorodnego piękna, odnajdziemy korzenie dla owego „Co dalej?" Bo bez wejścia w tą, zaczarowaną dotąd i zawłaszczoną sferę, nie ruszymy z miejsca, a na poziomie symbolicznym nadal będziemy już nie tylko gonić, ale wręcz gryźć własny ogon.

Łatwo nam mówić „miłość do ojczyzny", a przecież dalej i tak gubimy się w zawłaszczonych szczegółach, albo i gorzej, mylimy miłość z koniecznością lub obowiązkiem, tym samym małymi kroczkami zabijając ją lub przemieniając li tylko w zobowiązanie

Pytanie brzmi zatem... co nam robi dom? Co nam robi Polskę? Co sprawia, że zakorzeniamy się w tym, a nie innym miejscu? Co sprawia, że wciąż brniemy w tę trudną miłość, niezmiennie poszukując kluczy, które pozwoliłyby otworzyć najmocniej zaryglowane drzwi, największe autozakłamania, przekonania na pozór nie do podważenia, pewności, które dla racjonalnie myślących nie mają racji bytu? Jak wniknąć w opowieść, zaczynającą się od przedszkolaków recytujących wierszyk

Photo by Ernesto Bruschi on Unsplash

„Kto ty jesteś? Polak mały"? Jak przeskoczyć mit ucieczki w spokój czarnoleskiej lipy, gdzie słodycz zapachu i radość odosobnienia przeradza się w brak zainteresowania czymkolwiek, w daleki od bicia serca rytm skoncentrowany dziś na drodze do pracy, z pracy, do sklepu, po dzieci, przed telewizor... Taki współczesny chocholi taniec. Jak przypominać, że polski los nie musi być losem skrzywdzonego, czy ofiary z jednej, albo zbawcy narodów z drugiej strony? Że nie musimy być Gustawami czy Konradami? Że nie musimy budować szklanych domów, nieść innym kaganka oświaty, ani ewangelizować Europy... Że nasza przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są i mogą być piękniejsze, jaśniejsze, bogatsze, co wcale nie znaczy „upadłe" czy „poddane obcym wpływom". Że mówiąc „polskość" każdy dokłada do niej swoją cegiełkę bycia i rozumienia jej tak, jak to czuje. I że nie ma w tym nic złego.

Bo może – jak chcieli niektórzy filozofowie – faktycznie istnieją pojęcia i idee, których nikomu wyjaśniać nie trzeba. Wiemy o nich ot tak, intuicyjnie czując, że są tym, a nie czymś zupełnie innym, że odnoszą się (wedle uznania) do konkretnego porządku, gry językowej, urządzenia świata,

Photo by Kyle Eletson on Unsplash

że znaczą to i nic innego. Że są swego rodzaju uniwersalnym pewnikiem. Znane wymykają się jakiejkolwiek definicji, częstokroć przekraczając wszystko, co bylibyśmy w stanie powiedzieć. W ramach eksperymentu wyobraźmy zatem sobie – za G. E. Moorem – że rozmawiamy nie o „polskości" czy „patriotyzmie" ale... o możliwości/niemożliwości definiowania pojęcia/słowa „żółty" (a pomijamy opowieść o długości fali!). Wszyscy je znamy, wiemy, że dla opisania tego, a tego posługujemy się taką, a nie inną nazwą. Wskazujemy. Jednak zapytani o definicję, określenie, które wykraczałoby poza pokazanie palcem, nazwanie, przytoczenie całej masy przykładów czy pokrewnych epitetów, czujemy się nieco zagubieni. Oczywiście możemy bez przeszkód wyliczać rzeczy „żółte", ale... Nasze nazywanie pozostaje w znacznej mierze intuicyjne. Podobnie, powie Moore, ma się rzecz ze słowem „dobry". Zdefiniować go nie można, nawet jeśli doskonale potrafimy wyliczyć przypadki owego „dobrego". A może podobny eksperyment wykonamy z „polskością" czy „patriotyzmem" właśnie?

W drugim przypadku jest prościej... ale tylko na pozór. Bo łatwo nam mówić „miłość do ojczyzny", a przecież dalej i tak gubimy się w zawłaszczonych szczegółach, albo i gorzej, mylimy miłość z koniecznością lub obowiązkiem, tym samym małymi kroczkami zabijając ją lub przemieniając li tylko w zobowiązanie. A może w obu przypadkach chodzi właśnie o to, co wymyka się sformalizowanemu opisowi, co jest tym uczuciem w nas, które nieustannie przypomina, że – mimo różnic, niedociągnięć, niezrozumień, a nawet przy podskórnej ojkofobii – coś nas łączy. Może więc dość krzyków, machania szabelką, opowieści o tym „czyja bardziej jest Polska", rozdzierania na zawłaszczane części naszej mapy i historii. Może lepiej zaufać intuicji i omijając bełkot politycznych/społecznych/wspólnotowych daltonistów skupić się na odkrywaniu i – na początek – pokazywaniu sobie tych innych, nowych, otwartych, albo tylko reinterpretowanych rozumień korzeni polskości i patriotyzmu. Po co? Żeby znaleźć wyjście. Żeby móc odpowiedzieć sobie na pytanie „Co dalej?". Bo nie zrozumiemy tego bez pojęcia, zrozumienia, zaakceptowania (co nie oznacza afirmowania) tego, co było.

Czy poznam ten kraj za kilka lat? Nie wiem. To czy go poznam zależy w znacznej mierze od wielu z nas. Od tego, czy będziemy potrafili nasze – często piękne definicje, opowieści, narracje – scalić tak, by przekonać nieprzekonanych. Nie tylko rozczarowanych, zawiedzionych, znudzonych, ale również tych pozornie sytych, którym być może zacznie w końcu czegoś brakować. To coś to państwo, które byłoby naprawdę ich, to instytucje budowane by chronić, a nie stawać się elementem aparatu opresji, to bezpieczny dom, to wolność, która jest w nas i wokół nas. W różnorodności rozumień. W każdym z naszych światów. Ale by się pokochać, polubić lub chociaż współpracować, musimy pootwierać te światy, te wizje, te marzenia. Bo pytając „Co dalej?" musimy mieć na czym oprzeć stopy, a nie machać nimi w powietrzu. Musimy mieć... przynajmniej siebie. ◉

MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naukowo zajmuje się problematyką wojny, filozofią polityki i etykami praktycznymi. Autorka książek *Znaczenie wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą* (Liberté! 2018) oraz *Oblicza wojny* (Arbitror 2018). Pracuje nad kolejną książką zatytułowaną *The Tools of War*. Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika *Liberté!*

POLSKOŚĆ, POLSKOŚĆ

ZBIGNIEW MIKOŁEJKO

Czarny tupot samców o ogolonych umysłach.
Pienią się sztandary, krwią spływają pochodnie, strzelają race.
Zanosi się łzami listopad, jęczy moja ojczyzna.

Idą i idą pod mrocznym urwiskiem nieba,
młode piersi zachłystują się wrzaskiem -
jak opium.

Przyszli tutaj z betonowych kretowisk,
z zaśniedziałych czynszówek o podwórkach jak studnie,
z martwych miast komunizmu,
z niemrawych wiosek na skraju drogi,
z wiecznie chorych miasteczek,
gdzie wieczorem jest knajpa i wódka,
a niekiedy jest msza za Polskę,
zawsze dumną i zawsze cierpiącą,
nieskalaną jak Święta Panienka,
piękną niczym galeria handlowa.

Śpiew rozrywa im wargi,
a każdy w sercu ma hostię
i chce skonać niczym żołnierz podziemia
albo wojownik z filmu, przeszyty zbawiennym światłem.

Tymczasem w telewizji idzie serial o miłości, chorobach i śmierci,
który pozwala zapomnieć i ocala od złego -
tak prawie jak Jezus z obrazka.
I reklamy porywają w obłoki.

Tymczasem samochody się pasą pod blokiem, zgasiwszy ślepia.

Tymczasem trzeba zrobić pranie, zjeść kolację i umyć ręce.

Tymczasem trzeba zrobić dziecko,
które będzie radością dla matki i nadzieją narodu.

Tymczasem dwie chude dziwki,
naćpane i podpite, przeklinają przed podłą bramą
i zanoszą się śmiechem ze rdzy.

Photo by Dawid Małecki on Unsplash

Tymczasem paru wyrostków snuje się po ulicach
i zaczepia przygodnych przechodniów,
a emeryt z sąsiedztwa wyprowadza na spacer psa.

Tymczasem syn bawi się smartfonem,
a córka uczy się angielskiego,
bo to zawsze może się przydać.

Tymczasem jarzą się boskim, nieczułym światłem szkła korporacji
i karetka pędzi gdzieś na sygnale.

Tymczasem białe brzozy wznoszą tkliwe modlitwy,
przycupnąwszy na swych pagórkach.

Zmierzch zapada, lecz serca nie gasną.

Listopad 2017

(wiersz pochodzi z tomu *Teraz i zawsze*, który ukaże się nakładem Instytutu Mikołowskiego)

ZBIGNIEW MIKOŁEJKO

filozof i historyk religii, eseista; profesor zwyczajny i kierownik Zakładu Badań nad Religią w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Autor blisko tysiąca publikacji w dziewięciu językach. Ważniejsze książki: *Katolicka filozofia kultury w Polsce w epoce modernizmu* (1987), *Mity tradycjonalizmu integralnego* (1998), *Emaus oraz inne spojrzenia do wnętrza Pisma* (1998), *Elementy filozofii* (siedem wydań, 1998-2008). *Śmierć i tekst. Sytuacja ostateczna w perspektywie słowa* (2001, *Żywoty świętych poprawione* (2001, 2004, 2011), *W świecie wszechmogącym. O przemocy, śmierci i Bogu* (2009), *We władzy wisielca*, t. 1-2 (2012-2014), *Żywoty świętych poprawione ponownie* (2017), *Gorzkie żale* (2017). *Między zbawieniem a Smoleńskiem. Studia i szkice o katolicyzmie polskim ostatnich lat* (2018), *Prowincje ciemności. Eseje przygodne* (2018), *Heilsberg, to miasto* (2018). Wyróżniony m.in. srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" (2014), Nagrodą Kazimierza Jagiellończyka oraz Nagrodą ACADEMIA (za Najlepszą Akademicką Książkę Humanistyczną, 2015).

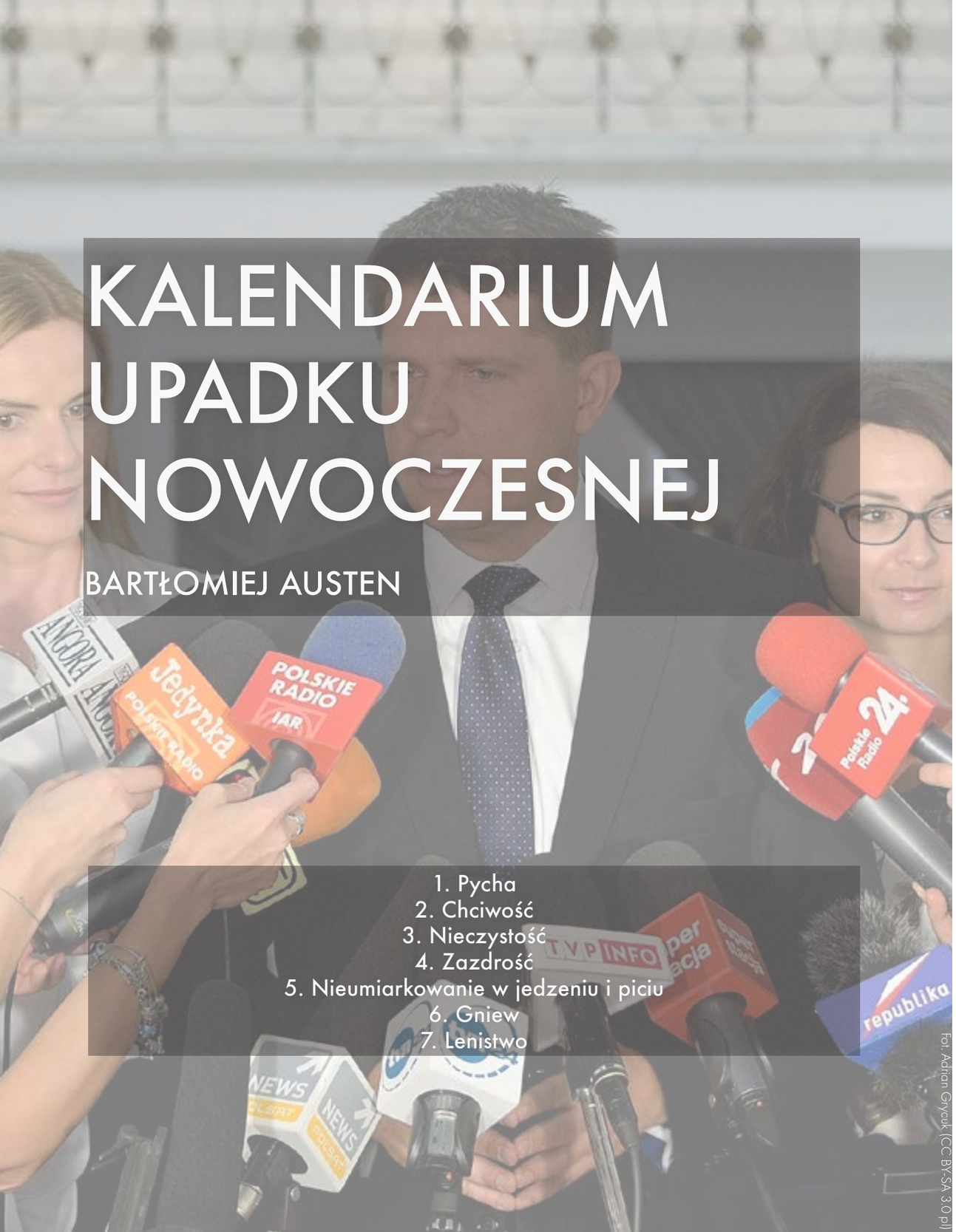

fot. Adrian Grycuk (CC BY-SA 3.0 pl)

KALENDARIUM UPADKU NOWOCZESNEJ

BARTŁOMIEJ AUSTEN

1. Pycha
2. Chciwość
3. Nieczystość
4. Zazdrość
5. Nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu
6. Gniew
7. Lenistwo

Prolog. Nadzieja

31 maja 2015 roku będąc przejazdem w Warszawie miałem chwilę i wpadłem na Torwar na spotkanie założycielskie Nowoczesnej. Na podobny pomysł wpadło około 6 tysięcy osób. Wtedy jeszcze nie myślałem jak wiele ten dzień zmieni w moim życiu. To było moje pierwsze spotkanie z polityką twarzą w twarz. Od zawsze się nią interesowałem, ale nigdy nie podejrzewałem, że polityka zainteresuje się mną.

Na Torwarze, w siedmiu blokach programowych, Ryszard Petru przedstawił cztery podstawowe założenia: obywatel ma być w centrum zainteresowania, wszystko mamy robić dla niego, a nie dla ekspertów i sondaży, żadnych głupich obietnic – tylko realne recepty na poprawę sytuacji w kraju, wykorzystanie ludzkiego potencjału – założenie, że nie stać Polski na to, żeby marnować ludzkie talenty, i przede wszystkim obywatele muszą się włączyć się w proces przemiany kraju.

Przyjechałem na to spotkanie, bo Ryszard Petru nie był dla mnie postacią anonimową. Często pojawiał się w magazynie EKG w TOK FM prowadzonego przez Redaktora Mosza. Ryszard nie był dla mnie *nołnejmem* – znałem go jako Przewodniczącym Towarzystwa Ekonomistów Polskich, przeczytałem jego ciekawą książkę o przyczynach kryzysu 2008 roku, jak do dziś pamiętam, ociekającą złotem na okładce. Jednak przede wszystkim był uczniem Leszka Balcerowicza, który – obok Lecha Wałęsy – bezapelacyjnie jest dla mnie najważniejszą postacią naszej transformacji.

Jakieś dwa tygodnie później w Trójmieście odbyły się spotkania, które organizował energiczny koordynator nowopowstającego stowarzyszenia, Michał Adamczyk. Pamiętam pierwsze spotkanie w Gdyni, na które przyszło51 osób. Nie było tam przebiegłych i zużytych polityków, ale zwykli, kolorowi ludzie, przedsiębiorcy, studenci, lekarze, detektywi, wojskowi po Iraku i Afganistanie, wykładowcy uniwersyteccy, prawnicy, były dowódca okrętu podwodnego... Było też kilku kompletnych freaków znudzonych i rozczarowanych miałkością wymyślonego na potrzeby POPiSu sztucznego konfliktu polsko-polskiego. Wtedy przypomniałem sobie Torwar i przemawiającego tam Wadima Tyszkiewicza. Pomyślałem, skoro on w to wszedł, to wchodzę i ja. To był pierwszy, najpiękniejszy okres Nowoczesnej, okres stowarzyszenia. Z około 300 osób, które na Pomorzu przystąpiły wówczas do Stowarzyszenia.N może kilkanaście miało epizody przynależności do jakiegoś ugrupowania politycznego. To był oddolny ruch, który dawał nadzieję na zmianę.

I grzech ciężki – pycha

Celem każdego ugrupowania politycznego jest zdobycie władzy. Nadchodziły październikowe wybory. Sondaże dawały Nowoczesnej kilkanaście procent (pierwszy), czasem sytuowały ją poniżej progu wyborczego. Zaczęliśmy zbierać podpisy potrzebne do rejestracji list. Zebrałem ich

ponad 400. Wtedy zadano mi pytanie, czy chcę kandydować. Szczerze mówiąc... nie chciałem, ale przecież jednym z głównych faktorów zmiany miało być aktywne włączenie się obywateli do polityki, więc jeśli mamy wymagać od polityków uczciwości, to zacznijmy od siebie. Obiecano mi trzecie miejsce w Gdyni, czyli tuż po liderze i kobiecie. Wtedy zaczęły się schody. Jedynką w moim okręgu gdyńsko-słupskim został Grzegorz Furgo, który w organizacji pojawił się w ostatniej chwili, po tym jak zrezygnował Maciej Bukowski. Ze Stowarzyszeniem, które nie miał nic wspólnego. Podobna sytuacja miała miejsce w Gdańsku, gdzie dosłownie za pięć dwunasta „na jedynkę" wskoczyła Ewa Lieder, która również była dla nas osobą zupełnie obcą. Wylądowałem w środku listy, na miejscu dziewiątym, bo jeszcze Warszawa wrzuciła na listę Piotrka, znajomego Adama Szłapki. Wtedy po raz pierwszy się zacząłem zastanawiać, czy z tą organizacją jest wszystko ok i czy aby na pewno powinienem ją firmować. W końcu nazwisko ma się jedno.

Okazało się, że podobne historie miały miejsce w większości regionów. Warszawa nie ufała strukturom, bo te były gdzieś daleko od Warszawy. Warszawa wiedziała lepiej. Tylko jakim cudem, pod jej nosem, posłem został Zbigniew Gryglas? W miarę rozrostu organizacji oddolność zaczynała być nie jej atutem, a obciążeniem. W końcu... kto ich tam wie co oni w tej Gdyni knują i przeciwko komu? Może właśnie przeciwko nam?

Od tej chwili powodzenie całego projektu zależało już tylko od powodzenia, lub porażki samego lidera. Gramy na skróty. Mało czasu do wyborów, więc wchodzimy *all in*

Organizatorem spotkania na Torwarze była NowoczesnaPL. Stowarzyszenie, którego byłem członkiem zarejestrowano jako Nowoczesna. Partię zarejestrowano 25 sierpnia pod pełną nazwą Nowoczesna Ryszarda Petru. Pamiętam, że wtedy drugi raz się wzdrygnąłem. Pomyślałem, że pewnie się nie znam. Pewnie nazwisko lidera, mimo że jego rozpoznawalność nie była przecież za wysoka, raczej pomoże niż zaszkodzi. Z drugiej strony od tej chwili powodzenie całego projektu zależało już tylko od powodzenia, lub porażki samego lidera. Gramy na skróty. Mało czasu do wyborów, więc wchodzimy *all in*.

II grzech ciężki – chciwość

W październikowych wyborach do Sejmu Nowoczesna zarejestrowała listy we wszystkich okręgach. W 16 ze 100 okręgów zarejestrowała również kandydatów do Senatu. Partia zdobyła 7,6% głosów i wprowadziła do Sejmu 28 posłów. Wszyscy uzyskali mandaty poselskie po raz pierwszy. W wyborach do Senatu Nowoczesnej nie udało się uzyskać mandatów. Na Pomorzu wynik został przyjęty z mieszanymi uczuciami. Po pierwsze samodzielną większość uzyskało Prawo i Sprawiedliwość, a po drugie na Pomorzu udało się dostać do parlamentu tylko nominatom z Warszawy, Ewie Lieder i Grzegorzowi Furgo, czyli osobom spoza Stowarzyszenia. Spodziewałem się kłopotów, ale nie tego co się wydarzyło. Adam Szłapka, który dostał od Ryszarda zadanie zbudowania struktur nigdy nie ufał szefowi naszych pomorskich struktur Michałowi Adamczykowi. Wybrał więc do tego zadania swojego znajomego, Dominika Kwiatkowskiego, który wraz z posłami miał poukładać region po jego myśli.

W efekcie 9 stycznia na Pomorzu odbyła się pierwsza konwencja Nowoczesnej Ryszarda Petru, podczas której wybrano regionalne władze ugrupowania. Porządku obrad pilnował Adam Szłapka. Przewodniczącą partii w regionie została posłanka Ewa Lieder, a wiceprzewodniczącym poseł Grzegorz Furgo. W zarządzie znalazło się jeszcze siedem osób. W wyborach wzięły jednak udział tylko 39 osób, które wybrano tak, aby wybory poszły wedle z góry zaplanowanego scenariusza. Na konwencję nie zaproszono mediów, ale również wielu dotychczasowych działaczy ugrupowania, członków stowarzyszenia. Z kolei inni, którzy wiedzieli o konwencji i na nią przyszli, nie zostali wpuszczeni na obrady przez 3 rosłych ochroniarzy. W efekcie siedzieli w kawiarni za ścianą... bez prawa głosu.

Do partii nie zaproszono tych, którzy pracowali *pro bono* na rzecz ugrupowania. Nawet im nie podziękowano. Nie znalazło się miejsce dla nieoficjalnego rzecznika stowarzyszenia Aliny Geniusz-Siuchnińskiej, która pomoc dla ugrupowania przypłaciła po wyborach posadą (była rzeczniczką państwowej Energii), a w której to prywatnym domu przez kilka tygodni znajdowało się centrum dowodzenia kampanią. Nie znalazło się miejsce dla Szefa Sztabu Wyborczego Tytusa Ułanowskiego, który za swoje zasuwał kilka miesięcy po pomorskim budując struktury i roznosząc ulotki. Nie znalazło się miejsce dla większości kandydatów, którzy użyczyli swojego nazwiska, czasu i pieniędzy. Nie znalazło się miejsce dla głównych darczyńców, sponsorów. Na spotkanie założycielskie nie zaproszono ani fundatora lokalu wyborczego, Maćka Bukowskiego, założyciela telewizji Mango, ani właściciela Browaru Staropolskiego, Marka Łycyniaka, który też startował z jej list. Nie zaproszono pani dziekan wydziału UG, która też startowała do parlamentu... I tak dalej.

Stało się tak, bo Ryszard Petru postanowił, że partię będzie tworzył odgórnie, a pierwszych członków partii wskażą posłowie. Później Adam Szłapka

Fot. Adrian Gryczuk (CC BY-SA 3.0 pl)

zagwarantował, że lista pierwszych delegatów będzie składała się osób wskazanych przez posłów i dotychczasowego koordynatora Michała Adamczyka. Michał nie chcąc nikogo wykluczać zarekomendował więc wszystkich członków stowarzyszenia Nowoczesna, co posłowie uznali za... niewskazanie nikogo. Wtedy listę zaproszonych ustalili między sobą nowo wybrani posłowie. Pojawiło się wielu znajomych parlamentarzystów. W późniejszych wywiadach posłowie przyznawali wprost, że zaprosili tylko tych, których dobrze znali. Takim sposobem na pierwszej konwencji pojawili się ludzie o pokolenie starsi od większości dotychczasowych działaczy.

Takie karykatury wyborów odbyły się nie tylko na Pomorzu, ale też w innych regionach. Wszyscy byliśmy w szoku. Pisaliśmy listy do zarządu krajowego partii. Prosiliśmy o interwencje, negocjowaliśmy z nowo wybranym zarządem przyjęcie osób ze Stowarzyszenia. Staraliśmy się nie iść z tym do prasy, a załatwić to wewnętrznie. Do prasy poszedł niestety Grzesiek Furgo i powiedział, że do partii nie będą przyjmowane osoby za dmuchanie baloników w kampanii. Po tych słowach część ludzi sobie odpuściła, większość z nas jednak postanowiła nie dać się wyeliminować z gry. Postanowiłem zostać i walczyć przede wszystkim o tych, których poznałem w Stowarzyszeniu, bo wiedziałem, że tak po ludzku fajnej, bezinteresownej, merytorycznej i chętnej do roboty ekipy drugi raz nie zbierzemy. Na szczęście w moim regionie Grzesiek Furgo dał się przekonać, nie przeszkadzał i większość wykluczonych ostatecznie przeszła eliminacyjne sito. Jednak niesmak pozostał, szczególnie, że mająca polityczne zaplecze Ewa Lieder nie była już tak skora do dialogu.

III Grzech ciężki – nieczystość

Po wyborach, mimo problemów wewnętrznych związanych z przekształceniem luźnego stowarzyszenia w regularną partię z wyrazistym wodzem i ośrodkiem decyzyjnym w Warszawie, dobre wibracje nadal sprzyjały„ence". Szybko okazało się, że na świeżości i naturalności partia dopłynęła do stabilnych sondaży powyżej 20%. Świetną robotę robiło najbliższe zaplecze niezmordowanego Ryszarda, który od rana do wieczora zasuwał po telewizjach i radiach, niestety coraz częściej gubiąc się w medialnej bieżączce. Kilka razy było blisko katastrofy, ale jednak Konrad, Adam, Mateusz, Marcin stali twardo za nim i podnosili go z coraz częstszych upadków. Think thank Lepsza Polska, kierowany przez Pawła Rabieja, dostawał od sieci eksperckiej tyle informacji, że szybko się zapchał i zaczął odpychać od siebie kolejnych profesorów, ekspertów, przedsiębiorców brakiem jakiejkolwiek informacji zwrotnej. Jednak lokomotywa jechała coraz szybciej.

By zapisać się do pomorskiego Stowarzyszenia trzeba było iść po zaświadczenie o niekaralności do sądu. Nie można było mieć w życiorysie innych partii. Szczególnie podejrzliwie patrzono na osoby z przeszłością w PO. Tacy ludzie byli w pierwszej kolejności kierowani do czyśćca i w nieskończoność czekali na odpowiedź. W moim kole rekordzista aż dziewięć miesięcy. Gdy tak czekali do Ryszarda Petru został wysłany przez około 60 posłów przedstawiciel, by negocjować ich odejście z PO i pogrzebanie żywcem Grzegorza Schetyny. Petru przez chwilę był, wspólnie z Mateuszem Kijowskim, liderem opozycji. Bał się jednak, że wraz z przejęciem posłów PO straci kontrolę nad organizacją, nie przystał zatem na ich warunki. Nie wiedział, że w tym momencie już przegrał wszystko. Miał jedną, niepowtarzalną szansę pogrzebać POPiS, ale jej nie wykorzystał. Następnej szansy już nie mógł dostać. Na horyzoncie było już bowiem widać Maderę.

Nie wykorzystał, bo tak jak pozostali polscy politycy nigdy nie był skupiony się na budowaniu organizacji. Jeżeli to się w przyszłości nie zmieni, to żadna polska partia nie będzie na poziomie organizacyjnym niemieckiego CDU czy brytyjskiej Labour Party, nie wspominając już o ich amerykańskich odpowiednikach. Nie bierzemy przykładów z najlepszych – CDU, o korzeniach z XIX wieku, która przetrwała w Niemczech 70 lat. Przetrwała Adenauera, przetrwała Kohla i przetrwa Merkel. Od 1949 roku nie miała w wyborach poparcia

mniejszego niż 25%. Przerwała, bo to nie jest partia wodzowska, zbudowana od niewłaściwej strony, tylko organizacja, której twarz dziś daje ten, a jutro tamten lub tamta. Liczy ponad pół miliona członków. To jest jej siłą. Na mających około stuletnie tradycje laburzystów w Anglii też przypada liczba członków wahająca się od prawie miliona do około pół miliona dzisiaj. Ich konkurenci, torysi, przetrwali zarówno śmierć Winstona Churchilla, jak i zmierzch Margaret Thatcher. Przetrwali, bo zbudowali markę i organizację. Członek-tata przekazuje członkostwo dzieciom. Dzieci swoim dzieciom. Rodzina rodzinie, a czasami nawinie się sąsiad czy kumpel w pracy. W Polsce nikt, poza Jarosławem Kaczyńskim, nie buduje organizacji. Nikomu się nie chce. Każdy idzie drogą na skróty. Budowanie organizacji to żmudny, pozbawiony szybkich efektów proces. Łatwiej wyjąć z szuflady świński ryj lub rzucić parę bzdurnych grepsów w telewizji albo na sejmowej mównicy. Wrzucić mem do internetu. Program? Jaki program? W dupie z programem. Mówmy to, co wyborca chce usłyszeć. Mówmy dupą lub od dupy strony. Dupa jest swojska i dupę każdy zrozumie.

Nowoczesna, jako organizacja, coraz bardziej starała się być czysta poprzez zamknięcie. Stawała się przez to coraz brudniejsza i coraz bardziej oddalona od wyborcy. Tak jak inne ugrupowania przechodziła na ciemną stronę mocy. Na każdym szczeblu liczyło się przede wszystkim kto jest nad kim, a kto pod kim. Liczyło się kto za kim podniesie rękę w wewnętrznym głosowaniu. Kto będzie przewodniczącym koła albo powiatu, kto będzie w radzie regionu, a kto w radzie krajowej. Ciągłe intrygi, nieustanne liczenie szabel. Łatwiej kontrolować kilkanaście osób, niż sto. Ot, cała przyczyna beznadziejności polskiej polityki.

IV Grzech ciężki – zdrada

22 września 2016 Sąd Najwyższy oddalił skargę partii i podtrzymał decyzję Państwowej Komisji Wyborczej o odrzuceniu sprawozdania finansowego z wyborów w 2015 w wyniku niezgodnego z prawem przelania 2 mln złotych z konta partii na konto komitetu wyborczego. W sumie głupi błąd księgowy wynikający z tego, że nie śmierdząca groszem „enka" postanowiła oszczędzić akurat na księgowości. Dziś wiemy, że akurat na tym oszczędzać nie powinna i była to fatalna pomyłka. Pamiętajmy jednak, że jedną z kolejnych przyczyn beznadziejności polskiej polityki jest sytuacja, iż nowopowstająca partia, by się przebić do świadomości publicznej musi mieć kasę, a skąd ją wziąć? Wciąż darzę wielkim szacunkiem Ryszarda Petru, bo to mu się w dużej mierze udało. Pierwszą część zorganizował swoimi osobistymi kontaktami, a drugą na kredyt. Kwota około 10 mln złotych na start to 2 razy więcej niż po czterech latach udało się zorganizować Robertowi Biedroniowi. Jednak ten polityczny układ jest tak zabetonowany, bo przeciwnik nic nie musi. PO, czy PiS żyją z dotacji budżetowych. Mimo starań „enki" budżety na kampanie 2015 miały one z urzędu kilka razy większe. Pieniądze przekładają się na wynik wyborczy, który daje jeszcze więcej pieniędzy i tak karuzela kręci się coraz szybciej. Nowemu bardzo ciężko na nią wskoczyć.

Nowoczesna straciła na rzecz Skarbu Państwa zakwestionowaną przez PKW kwotę, a także 75%, czyli 4,65 mln zł rocznej subwencji na działalność partii politycznych i 75% dotacji podmiotowej, którą miała otrzymać w związku ze zdobytymi mandatami poselskimi. Odpowiedzialny za błędny przelew mąż posłanki Kamilii Gasiuk-Pihowicz, Michał Pihowicz, zrezygnował z funkcji skarbnika partii. Jednak nie rozwiązało to podstawowego problemu. Według art. 130 Kodeksu wyborczego odpowiedzialność za zobowiązania majątkowe komitetu ponosi pełnomocnik finansowy, a tym był Michał Pihowicz. Okazało się jednak, że ewentualna egzekucja komornicza to nie był jedyny problem wynikający z tej pomyłki. Najgorsze, że właśnie wtedy coś zaczęło się psuć w miarę zgranym na początku klubie poselskim, który od początku kadencji powiększył się do 34 osób. Michał Pihowicz był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Ryszarda. Był w tej początkowej kilkuosobowej grupie, która zakładała partię. Gdy go zabrakło nasiono zdrady zaczęło kiełkować. W kwietniu 2017 Nowoczesną opuściło czworo posłów, którzy przeszli do klubu parlamentarnego PO. Grzegorz Furgo, Michał Stasiński, Marta Golbik i Joanna Augustynowska. Grzegorz Schetyna znowu pokazał w czym jest najlepszy. W tym samym miesiącu Ryszard Petru ustąpił z funkcji przewodniczącego klubu poselskiego, a zastąpiła go Katarzyna Lubnauer. W październiku tego samego roku Nowoczesną zdradził Zbigniew Gryglas.

V Grzech ciężki – nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu

Opisując historię upadku Nowoczesnej nie da się pominąć wątku Madery, która okazała się zresztą nie być Maderą, a Lizboną. Dla nas, ludzi wewnątrz organizacji, największym przegranym tej wyprawy paradoksalnie okazał się nie Ryszard Petru, czy Joanna Schmidt, a Katarzyna Lubnauer, która jako ówczesny rzecznik partii dodatkowo zainteresowała media swoimi nietrafionymi wypowiedziami. 2-go stycznia rano mówiła, że nie ma pojęcia, gdzie jest Ryszard Petru. Kilka godzin później mówiła już, że doskonale wie, gdzie jest Petru, bo ma z nim ciągły kontakt, a jego wyprawa była wcześniej zaplanowana jako ważny wyjazd partyjny. Wieczorem z kolei twierdziła, że wyjazd Petru był całkowicie prywatny i nic nikomu do tego.

Jedną z jego wad było to, że nie potrafił zaprzyjaźnić się z dziennikarzami, w jakiś sposób ich oswoić. Uważali go... za buca

W ciągu jednego dnia podała trzy wykluczające się wersje zdarzeń.

Wszystko to działo się podczas kryzysu politycznego, który rozpoczął się 16 grudnia 2016 w związku z próbą wprowadzenia zmian w organizacji pracy dziennikarzy w Sejmie i wykluczeniem z posiedzenia posła Michała Szczerby. W trakcie blokady Sejmu i ulicznych demonstracji. Z jednej strony nie dało się gorzej wybrać terminu tej wyprawy, ale z drugiej... Grzegorz Schetyna też pojechał wtedy na narty i nikogo to nie obchodziło.

A nie obchodziło, bo wyrok na Ryszarda Petru i Nowoczesną był już dawno wydany. Został wydany gdy Nowoczesna przeskoczyła w sondażach Platformę Obywatelską. Potrzebny był dobry pretekst, a Ryszard i plącząca się w zeznaniach Kasia Lubnauer po prostu go dostarczyli. To, że pisowskie media wzięły Nowoczesną w obroty było oczywiste, ale reakcja TVN, Agory i innych dziennikarzy sympatyzujących z Platformą Obywatelską nie byłaby tak przewidywalna, gdyby nie pewne cechy lidera Nowoczesnej. Niestety jedną z jego wad było to, że nie potrafił zaprzyjaźnić się z dziennikarzami, w jakiś sposób ich oswoić. Uważali go... za buca. Jego denerwowały ich idiotyczne pytania. Dziennikarze nie mogli zrozumieć jak partia mająca problemy z regulowaniem należności może wynajmować biuro za kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie. Gdy ludzie marzną na ulicach w obronie demokracji, lider opozycji wyskakuje na parę dni ogrzać się z przyjaciółką, wcześniej zapewniwszy o swym profesjonalizmie i niezłomności. Dziennikarze nienawidzą, kiedy robi się z nich idiotów, a Petru zrobił to po raz kolejny.

Oczywiste też było, że romans w środku klubu poselskiego, pełnego mocnych charakterów i osobników o przerośniętym ego, musiał się fatalnie skończyć. Z drugiej strony jak ma się „Madera gate" do afer PiSu? Szefa NIK, który okazuje się czyścicielem kamienic, szefa KNF, który składa właścicielowi banku korupcyjne propozycje i daje się nagrać, premiera, który dorabia się kupując działki od kurii po śmiesznych cenach, czy samego Prezesa, który nie płaci za dokonane i zamówione dla niego usługi. Z tej perspektywy widać jak bardzo dęta była to historia. Ale jakby jej nie było to znalazłaby się inna. Łatwo jest uderzyć

Przykłady z biznesu dobitnie pokazują, że najbardziej spektakularne sukcesy odnosiły organizacje, które potrafiły pogodzić ego kliku osób

Fot. Adrian Grycuk (CC BY-SA 3.0 pl)

w pojedynczego lidera. Trudniej, gdy jest ich kilku. Kolejną przyczyną beznadziejności polskiej polityki jest przekonanie, że zawsze musi być jeden wyrazisty lider. Przykłady z biznesu dobitnie pokazują, że najbardziej spektakularne sukcesy odnosiły organizacje, które potrafiły pogodzić ego kliku osób jak np. grupy ITI gdzie było trzech wspólników Bruno Valsangiacomo, Mariusz Walter i Jan Wejchert. Dopóki zgodnie współpracowali dopóty interes się rozwijał. Innym przykładem może być historia niebywałego sukcesu, nie tylko na rynku polskim, Grupy Maspex, gdzie tych osób było i jest dużo więcej. Ale nie trzeba szukać tak daleko. Przecież PiS jest dziś tak popularny, bo ma wiele twarzy. Od Morawieckiego po Macierewicza. W Nowoczesnej tego zabrakło. Duży potencjał wielu osób został zmarnowany. Zabrakło wyciągnięcia wniosków z klęski Janusza Palikota. Nowoczesna poszła tą samą drogą ku autodestrukcji.

Przykład Nowoczesnej pokazuje, że mimo że prawie wszystko zrobiliśmy źle, to sukces był na wyciągnięcie ręki. Brakowało tyci, tyci

VI Grzech ciężki – gniew

25 listopada 2017 odbyła się konwencja wyborcza partii, na której ponad 300 delegatów dokonało wyboru nowych władz ugrupowania. Zmieniono także nazwę partii z Nowoczesna Ryszarda Petru na Nowoczesna. Nową przewodniczącą została Katarzyna Lubnauer, która w głosowaniu wygrała z dotychczasowym szefem Ryszardem Petru 149:140. Przeważyło dziewięć głosów. O zmianie zadecydowało to, że szef struktur Nowoczesnej Adam Szłapka przyłączył się do obozu Katarzyny Lubnauer. Wcześniej poparcia udzielili jej Kamila Gasiuk-Pihowicz, Paweł Pudłowski i Piotr Misiło, którzy początkowo także zgłosili zamiar kandydowania. Ryszard został zdradzony przez tych, na których postawił na początku, jak Adam, czy Katarzyna.

Wiem, że gdyby ci delegaci byli inni – ci, którzy dla niego zapisali się do Stowarzyszenia – to wynik głosowania byłby zupełnie inny. Jednak czystka, jakiej dokonał w organizacji Adam Szłapka sprawiła, że partia została sformatowana w regionach nie pod Ryszarda Petru, a pod nowo wybranych posłów. Gdy posłowie go zdradzili, struktury, nad którymi mieli kontrole, a które wybierały delegatów, zagłosowały wedle ich życzenia. Byłem tam i głosowałem na Ryszarda, bo wiedziałem, że mimo wszystkich jego wad wybór kogokolwiek innego sprawi, że Nowoczesną czeka koniec. Platforma poczuje krew, odegra się i szybciutko nas zniszczy. Eliminując nas, wynik wyborów 2019 roku będzie miała niejako w kieszeni. PiS będzie miało kolejną kadencję, a Platforma pozostanie liderem opozycji na czym pragmatycznemu Grzegorzowi Schetynie najbardziej zależało.

Najdziwniejsze na tej konwencji było to, że Ryszard przegrał na własne życzenie. Gdyby wykonał te 300 telefonów do delegatów wynik głosowania byłby inny. Nie wykonał. Do mnie też nie zadzwonił. Ani Adam Kądziela, ani Konrad Urbanowicz, ani Marcin Grunwald. Żaden z jego najbliższych współpracowników nie dostał od niego sygnału. Telefon milczał. Tego dnia przegrał nie tylko te wybory, ale również te 6-8% głosów, które w dniu przewrotu Nowoczesna jeszcze miała w sondażach. To był początek końca.

VII Grzech ciężki – lenistwo

11 stycznia troje posłów, Krzysztof Mieszkowski, Joanna Scheuring-Wielgus i Joanna Schmidt, zawiesiło członkostwo w klubie, protestując przeciwko opuszczeniu przez dzisieciu posłów Nowoczesnej głosowania projektu dotyczącego zmian w prawie dotyczącym aborcji. Projektu, pod którym podpisy zbierali członkowie ugrupowania w całej Polsce. Wtedy też Nowoczesna zmieniła nazwę na Staroświecka. Jeden z nich, Adam Cyrański, tego samego dnia odszedł z partii. 24 lutego odszedł, kierujący wówczas partyjną młodzieżówką Adam Kądziela. 9 maja z partii wystąpiły Joanna Scheuring-Wielgus i Joanna Schmidt. 11 maja Nowoczesną opuścił jej założyciel Ryszard Petru wraz z pozostałymi współpracownikami. Joanny i Ryszard założyli następnie koło poselskie Liberalno-Społeczni, a później partię Teraz!, która nie dotrwała nawet do końca kadencji. Działo się to już w momencie, kiedy jasne było, że partia pod przywództwem Katarzyny Lubnauer nie ma szans wystartować samodzielnie w wyborach, bo organizacyjnie nie uda się ani zebrać odpowiedniej ilości podpisów, ani wystawić pełnych list wyborczych. Platforma tylko na to czekała.

W przeprowadzonych 21 października wyborach samorządowych Nowoczesna startowała wspólnie z PO w ramach Koalicji Obywatelskiej. W całym kraju Platforma wycinała z list wszystkich, którzy mogli jej zaszkodzić. W regionach, gdzie struktury, liderzy byli silni, tam cięcia były najmocniejsze. Byli bezwzględni. Na tym etapie wraz z około 30 osobami zostałem zmuszony do odejścia z partii w Gdyni. Po wyborach samorządowych struktury zostały zniszczone. Zostały już tylko zgliszcza. W listopadzie 2018 odeszli z partii niemal wszyscy członkowie w województwie podkarpackim, to samo stało się w zachodniopomorskim. Zarządy przestały się odbywać, koła nie spotykały się, skarbnicy nie zbierali składek, statut przestał być przestrzegany, a tym samym partia właściwie przestała istnieć.

Po nowym roku zaczęła się akcja „Ratuj się kto może!" 30 stycznia za ciągłe krytykowanie poczynań Katarzyny został usunięty Piotr Misiło, bez którego poparcia nie wygrałaby z Ryszardem Petru. Kilka dni później Piotr Misiło,

Fot. Łukasz Kamiński [CC BY-SA 3.0]

Kamila Gasiuk-Pihowicz, Krzysztof Truskolaski oraz czterech innych posłów dołączyli do Platformy. W efekcie Nowoczesna utraciła klub poselski. Na poselskim pokładziezostało 14 posłów . W wyborach do parlamentu europejskiego nikt nie zdobył mandatu. W wyborach do Sejmu uratowała się ósemka. Katarzyna Lubnauer, Adam Szłapka, Barbara Dolniak, Paulina Hennig-Kloska, Krzysztof Mieszkowski, Monika Rosa, Mirosław Suchoń, Witold Zembaczyński.

Epilog – nadzieja

Najsmutniejsze dla mnie w tej historii było zmarnowanie potencjału tysięcy wspaniałych ludzi, którzy w przeważającej części byli wcześniej nieaktywni politycznie. To zmarnowana szansa na normalność. Dla osób takich jak ja opcją pozostało głosowanie na mniejsze zło. W tej chwili nie ma na polskiej scenie politycznej żadnej partii, która reprezentowałaby moje poglądy, liberalne gospodarczo i obyczajowo. Dlatego taka partia wkrótce powstanie. Będąc przedsiębiorcą wiem, że jak jest popyt, to musi być podaż. Ważne jednak, by z tej smutnej lekcji upadku Nowoczesnej wysnuć wnioski i nie powtarzać tych samych błędów enty raz. Partia musi być masowa. Nie może być wodzowska. Musi być wyrazista, a nie robiona pod sondaże, bo wtedy próbuje się przypodobać wszystkim, czyli nikomu. Musi zaistnieć nie tylko w dużych miastach. Musi być pro-przedsiębiorcza. Musi być oparta na trzydziesto-, czterdziestolatkach, bo ich jest, jako wyborców, najwięcej. Musi być prawdomówna. Musi też mieć w końcu prawidłowo skonstruowany statut. Musi być. I będzie. Bo przykład Nowoczesnej pokazuje, że mimo że prawie wszystko zrobiliśmy źle, to sukces był na wyciągnięcie ręki. Brakowało tyci, tyci. Dlatego tym razem się uda. Wierzę głęboko, że postsolidarnościowa kłótnia w rodzinie trwająca od lat osiemdziesiątych nie będzie trwała wiecznie. Większość wyborców naprawdę już dziś nie interesuje czy Lech Wałęsa przeskoczył płot, czy przywieźli go motorówką? Czy Hanna Krzywonos zatrzymała tramwaj, czy tramwaj zatrzymał ją?

A jeśli się mylę, to nic przecież się nie stanie. Będę przedsiębiorcą i dalej będę prowadził swój biznes. Najwyżej, jak zmuszą mnie do tego rządzący, przeniosę go zagranicę. Czasami coś skrobnę dla „Liberté!" jak zaswędzą palce. Nic nie muszę. W końcu nie jestem politykiem. Polityk musi. Ja chcę.

To jest moje osobiste rozliczenie i zamknięcie pewnego etapu w moim życiu. Czekałem z tym do tegorocznych przegranych wyborów, bo trzymałem za Was wszystkich (no prawie wszystkich) kciuki. Nie wyszło, ale doceniam Was, bo każdy, kto angażuje się w życie polityczne w naszym kraju zasługuje na uznanie. Wiem, że duża część błędów Ryszarda, Adama, Katarzyny była spowodowana brakiem ich doświadczenia w budowie i kierowaniu tak wielką organizacją. Ich wcześniejsze zawodowe życie po prostu ich do tego odpowiednio nie przygotowało. Tych kompetencji po prostu nie mieli, a gdy się pojawiły problemy skupili się nie na szukaniu przyczyn, a na wykorzystywaniu ich dla własnych osobistych celów. Nie podołali, ale wiem, że dziś z tą wiedzą zrobili, by to już inaczej i lepiej. ◉

BARTŁOMIEJ AUSTEN

Były wiceprzewodniczący regionu pomorskiego Nowoczesnej, były kandydat Nowoczesnej na urząd Prezydenta miasta Gdynia, były koordynator powiatu Gdynia.

DZIWISZ MUSI ZACZĄĆ MÓWIĆ PRAWDĘ

Z FRÉDÉRICIEM MARTELEM, AUTOREM KSIĄŻKI *SODOMA. HIPOKRYZJA I WŁADZA W WATYKANIE*, ROZMAWIA PIOTR BENIUSZYS

Piotr Beniuszys: Czy można mieć za złe przedstawicielom duchowieństwa, że wzniecają homofobię? W pańskiej książce *Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie* precyzyjnie pokazuje pan, że homofobia jest kluczowym narzędziem rekrutacji nowych powołań. Czy bez strachu młodych homoseksualistów z prowincji przed ostracyzmem, bez uczucia ulgi, które wówczas pociąga za sobą wybór drogi kapłaństwa, Kościół miałby jakiekolwiek szanse przetrwać?

Frédéric Martel: To, co mnie w pierwszej kolejności uderza, to skomplikowanie podejścia świata katolickiego wobec homoseksualizmu, tak że żadna prosta odpowiedź nie jest możliwa. W *Sodomie* pokazuję, że hierarchia katolicka, zwłaszcza w Watykanie, ale także w Polsce, jest w większości homoseksualna. W wielkich miastach, w stolicach kler składa się przeważnie z gejów, podczas gdy jest on heteroseksualny na obszarach wiejskich (szczególnie w odniesieniu do Kolumbii, Chile, Peru, Brazylii oraz Afryki, Watykan ma świadomość tego, że księża generalnie posiadają dziewczyny!). Zatem ujmując to z grubsza, duchowni są gejami w miastach; zaś aktywnymi hetero na wsiach! Ten kontrast istnieje także w Polsce w podobny sposób.

Poza tym, gdy mówi się o homoseksualistach, można przez to chcieć powiedzieć wiele różnych rzeczy: są homoseksualiści, którzy stają się księżmi powodowani szczerymi przesłankami, nawet nie wiedząc, że są gejami; są też geje, którzy zostali księżmi, aby się ukrywać. Jest wielu księży, którzy są seksualnie aktywni (wśród nich są polscy biskupi, których kochankowie są znani), ale także są księża lub mnisi homoseksualni, którzy zachowują czystość, pozostając w ten sposób wiernymi swoim ślubom czystości czy celibatowi. Są też księża homoseksualni, którzy często udają się na łowy, podrywają w seminariach, albo wybierają w ostateczności męskie prostytutki. W końcu, Kościół katolicki to, jak napisałem w książce, „50 twarzy Geja"! Możemy śmiało powiedzieć, że heteroseksualizm jest bardzo rzadki pośród hierarchii!

Napisał pan, że często to zagrożenie skandalem seksualnym czy szantaż powodują, że kardynałowie i arcybiskupi okazują się niezdolni do tego, aby zareagować właściwie, gdy znajdą się twarzą w twarz z księdzem-pedofilem. Czy porzucenie celibatu i reżimu seksualnych wyrzeczeń mogłyby pomóc w rozwiązaniu tego problemu? Przecież zapewne zawsze pozostałaby możliwość, aby szantażować ludzi władzy w Kościele w inny sposób. Czy problem ten nie jest może nieco bardziej ogólny i związany z problemem kultury tajemniczości, izolacji od świata zewnętrznego i laickiego, z brakiem transparentności w Kościele?

To pytanie jest także bardzo skomplikowane. Powiedzmy zatem w ten sposób: seksualne

wykorzystywanie jest zjawiskiem masowym. Przeprowadzone badania, nawet jeśli wiążą się z nimi częstokroć wątpliwości, pokazują, że generalnie wykorzystywanie seksualne ma miejsce często w rodzinach lub w szkołach, jego sprawcami są zwłaszcza heteroseksualni mężczyźni, zaś ofiarami dziewczynki. Jeśli chodzi o specyficzne badania odnośnie Kościoła katolickiego, to nie są one ani pewne, ani liczne. Myślimy tutaj oczywiście o filmie *Spotlight*, który opowiada historię śledztwa „Boston Globe", podobnie jak o badaniach przeprowadzonych przez Szkołę Wyższą Kryminologii im. Johna Jaya. Zaznacza się w nich, że 85% ofiar księży to niepełnoletni chłopcy lub młodzi mężczyźni pełnoletni, seminarzyści. W seminariach – ten temat jest bardzo słabo znany – istnieje pewna forma prawa pierwszej nocy, za przyzwoleniem lub bez niego. Ale nawet w przypadku udzielenia przyzwolenia, relacja hierarchiczna tworzy problem. Czy to w Chile, w Peru, czy w Kolumbii, ale także w przypadku afery Barbarina we Francji: stykamy się za jednym razem z przypadkami pedofilii i homoseksualizmu. Uwypukla się równocześnie w tych badaniach, że bardzo niewielu księży to wszystko dotyczy: od 2 do 4%, nie ma żadnych bardziej precyzyjnych danych, ale to naprawdę mała liczba. Tymczasem, nawet będąc niezbyt liczni, wykorzystujący seksualnie mogą mieć wiele ofiar.

Raz jeszcze, stosunki – w tym homoseksualne – z przyzwalającą osobą dorosłą, one nie stanowią dla mnie żadnego problemu. Oczywiście całkowicie inaczej jest ze stosunkami, które podpadają całą mocą pod przepisy prawa. Mówiąc inaczej, jest o wiele lepiej, gdy sprawa dotyczy posiadania kochanka lub kochanki, aniżeli gdy chodzi o wykorzystanie dziecka.

Homoseksualizm nie ma więc żadnego powiązania z wykorzystywaniem seksualnym. Problemem jest kłamstwo o seksualności księży. Podwójne życie, wrogość wobec własnej seksualności i tuszowanie wykorzystywania. Kluczem jest właśnie tuszowanie. Kwestia przyczyn tuszowania, ukrywania czy zatajania – zajmowałem się nią więcej aniżeli samym wykorzystywaniem seksualnym, ponieważ to w jej przypadku ukazuje się systematyczny wymiar zjawiska. Gdyby meksykański pedofil Marcial Maciel, którego udokumentowane przestępstwa sięgają początku lat czterdziestych, został powstrzymany pod koniec lat czterdziestych – a pierwsze świadectwa sięgają roku 1948 – nie byłoby afery Maciela. A jeśli afera ta zaistniała jednak, to dlatego, że Maciel był stale kryty, przez wszystkie poziomy kościelnej hierarchii, od najniższego po poziom najwyższy. Aż do epoki późnego pontyfikatu Jana Pawła II. Można nakreślić paralele z aferami Groëra w Austrii czy Karadimy w Chile.

We wszystkich tych sprawach, nazwiska włoskiego kardynała Angelo Sodano oraz polskiego kardynała Stanisława Dziwisza, a więc osobistego sekretarza Jana Pawła II, są wymieniane przez prasę oraz w licznych książkach. Co oni wiedzieli?

Fot. Tomasz Ogrodowczyk

FRÉDÉRIC MARTEL

Francuski pisarz i dziennikarz, doktor nauk społecznych. Jego książki zostały przetłumaczone na kilkanaście języków i wydane w dwudziestu krajach. *Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie* znalazła się na liście bestsellerów „New York Times" w Stanach Zjednoczonych.

Dlaczego tuszowali czyny pedofilskie, gdy byli o nich informowani? Jest pewnym, że wszystko to będzie w przyszłości przedmiotem procesu i dziesiątki dziennikarzy będą prowadzić swoje śledztwa na ten temat. Angelo Sodano i Stanisław Dziwisz muszą odpowiedzieć na pytania dziennikarzy, bo ich nazwiska będą figurować w setkach artykułów i w książkach w nadchodzących latach. Nie mówię, że są winni. Mówię, że muszą od teraz zgodzić się udzielić wyczerpujących odpowiedzi i przedstawić dowody na poparcie tego, co mówią. Biografia Jana Pawła II zostanie w innym przypadku splamiona, wielu domaga się już teraz „dekanonizacji" Jana Pawła II. Książki poruszające te kwestie pojawią się w 2020 r. Będzie to wielka debata, ponieważ tysiące dzieci zostały zgwałcone lub stały się ofiarami napaści, podczas gdy ekipa Jana Pawła II tuszowała – jeśli wierzyć tym licznym książkom i artykułom – te czyny. Tutaj chodzi o tysiące przestępstw. Będzie się o tym mówić przez całe dziesięciolecia, dlatego lepiej byłoby, gdyby panowie Sodano i Dziwisz zaczęli mówić, albo to Jan Paweł II przejdzie do historii w radykalnie złym świetle. Zwrot w historycznej ocenie tej postaci już następuje w tej chwili w Meksyku, w Chile, we Francji, a być może już niedługo także w Polsce.

Weźmy Chile, gdzie dziesiątki ofiar już w tej chwili mówią głośno. W przypadku tego kraju jest ewidentne, że wszystkie osoby odpowiedzialne w Kościele katolickim były na bieżąco,

na wszystkich poziomach hierarchii, w samym Chile i aż po Watykan. Kiedy wybrałem się do Chile, w ciągu tygodnia wszystko mi opowiedziano. Poza tym, w międzyczasie wszyscy biskupi chilijscy złożyli równocześnie swoje dymisje na ręce papieża. Tak więc Angelo Sodano, nuncjusz w Chile i osobisty przyjaciel Karadimy, był siłą rzeczy na bieżąco. Jest nawet izba jego imienia w kościele Karadimy, „izba nuncjusza". To samo dotyczy jego następców w roli nuncjusza, zaczynając od Luigiego Ventury, obecnego nuncjusza w Paryżu, który został przez dziesiątkę chłopców oskarżony o napaść seksualną! Tak więc kardynał Angelo Sodano – o którym mówi się, że w ostatecznym rozrachunku to on, wraz ze Stanisławem Dziwiszem, sprawował realną władzę papieską pod Janem Pawłem II – był na bieżąco. Otóż on nigdy nie przestał chronić Karadimy. Dlaczego go chronił? Dalej, w Rzymie, Kongregacja Nauki Wiary, której prefektem był Joseph Ratzinger, nie ogłosiła najmniejszej sankcji, gdy te czyny stały się znane. Dlaczego? Maciel w Meksyku był przypadkiem jeszcze bardziej poważnym, a jego ochrona trwała jeszcze dłużej. Dlaczego Jan Paweł II chronił takiego gwałciciela i kryminalistę jak Maciel? Dlaczego Jan Paweł II jest na wspólnym zdjęciu z Marcialem Macielem, na zdjęciu pochodzącym z ostatniego roku jego życia? Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Zawsze myślałem, że kwestia homoseksualizmu nie była wyjaśnieniem wystarczającym, nawet jeśli była ona główną sprawą w otoczeniu tych księży oraz tych, którzy ich kryli. Tutaj jest więc inna rzecz.

Moja hipoteza: polityczna ideologia antykomunizmu, pieniądze, korupcja – one także odegrały swoją rolę.

Czy Kościół katolicki zaznał dramatycznej utraty wiarygodności? Co musiałoby się wydarzyć, aby mógł on ją odzyskać i to w rzeczywistości XXI w. – w epoce emancypacji kobiet, równości wobec prawa osób LGBT, w epoce #MeToo? Czy to w ogóle możliwe?

Wystarczy, że wszystko zostanie otwarcie powiedziane. Wszystkie archiwa muszą zostać opublikowane. Kościół musi przestać systematycznie kłamać. I konieczne jest to, że kardynałowie Angelo Sodano i Stanisław Dziwisz zostaną objęci dochodzeniem przez watykański wymiar sprawiedliwości. Oni muszą zostać wezwani do Rzymu i podczas trwającego wiele tygodni procesu powiedzieć to, co wiedzą, odnieść się do wszystkich wydarzeń. Nie twierdzę, że oni są winni, tego nie wiem. Mówię tylko: oni muszą zostać przesłuchani i postawieni przed koniecznością obrony swoich osób.

W polskim Kościele katolickim dzisiaj niemal wszyscy biskupi prezentują postawy homofobiczne. Kampania przed wyborami parlamentarnymi w tym roku była okazją dla Kościoła i dla partii władzy, aby stworzyć wspólny front ataku przeciwko osobom LGBT. W oparciu o pana doświadczenie oraz korelacje, które pan odkrył w toku pracy nad książką, co można w ich świetle powiedzieć o orientacji seksualnej polskich biskupów?

Jest reguła, która działa prawie zawsze: im bardziej homofobiczny jest publicznie biskup, tym większe prawdopodobieństwo, że będzie on homoseksualistą prywatnie, albo że przynajmniej posiada dziewczynę. Sam papież Franciszek to wytłumaczył. Rygory Kościoła to tajemnice do ukrycia. Odwrotna sytuacja jest także prawdziwa: im bardziej dany ksiądz jest tolerancyjny wobec gejów, im bardziej otwarty jest on na ideę wyświęcania kobiet, im bardziej jest przeciwny celibatowi księży, tym większe jest prawdopodobieństwo jego heteroseksualizmu. Księża, biskupi i kardynałowie homoseksualni to są ci, którzy są najbardziej sztywno upierają się przy zachowaniu celibatu kapłanów. Nie chcą zobaczyć kobiet wewnątrz hierarchii Kościoła, ponieważ chcą pozostać w samym męskim towarzystwie. To jest socjologiczna reguła najwyższej wagi.

Jakie ma pan teraz relacje z kardynałami i biskupami, po publikacji pana książki? Czy trafił pan na jakąś „czarną listę", albo nawet na „indeks ksiąg zakazanych"?

Moja książka jest bestsellerem w 15 krajach (w USA bestsellerem na liście „New York Timesa") i jest obecnie przetłumaczona na 20 wersji językowych. Jest niewątpliwie książką najczęściej komentowaną w Kościele od 5 lat! W samej tylko Polsce sprzedano już prawie 80.000 egzemplarzy! A zatem wszyscy o tym mówią, trafiam do wszystkich!

Bywam w Rzymie jeszcze regularnie i siadam do stołu z biskupami i kardynałami, którzy w dalszym ciągu ze mną rozmawiają, ponieważ widzą, że ich nie wydałem i że napisałem prawdę. Papież we własnej osobie podał do wiadomości, co myśli o książce. Powiedział, po pierwsze: „przeczytałem książkę"; po drugie: „to dobra książka"; po trzecie: „wszystko to już wiedziałem". Nie jest to wypowiedź publiczna, ale prywatna. Prasa włoska, amerykańska i francuska potwierdziły ją jednak w międzyczasie u oficjalnych źródeł. A więc papież wszystko wiedział! Sądzę, że Polacy także muszą to wiedzieć! ◉

PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, mieszka w Gdańsku. Członek zespołu redakcyjnego i autor licznych publikacji w Liberté!. Specjalizuje się w tematyce ewolucji myśli liberalnej oraz w historii zachodnioeuropejskich partii liberalnych.

JAK URATOWAĆ PLANETĘ DLA NASZYCH DZIECI? ZADANIA DLA EUROPY

ZAPIS PANELU Z IGRZYSK WOLNOŚCI 2019: Z AGNIESZKĄ POMASKĄ, ANITĄ SOWIŃSKĄ, KATARZYNĄ JAGIEŁŁO, RENETĄ SOKOL JURKOVIĆ I ADAMEM WAJRAKIEM ROZMAWIA PRZEMYSŁAW STACIWA

Ilustracja: Olga Łabendowicz

Przemysław Staciwa: Cofnijmy się w czasie do dnia otwarcia Igrzysk, kiedy jedno z inauguracyjnych przemówień wygłaszał były minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski – obecnie europoseł – który mówił o europejskiej racji stanu. Wystąpienie rozpoczął jednak pytaniem: „Czy możemy w ogóle mówić o europejskiej racji stanu?" Chciałbym, żebyśmy zatrzymali się przy nim na jakiś czas, zawężając to pytanie jednak do kwestii ekologicznej, klimatycznej europejskiej racji stanu. Czy możemy o niej w tym momencie mówić? Jeśli tak, to jak ona się w tej chwili kształtuje albo na jakim etapie krystalizacji jest? Jeśli nie – dlaczego i czy są jakieś szanse, żeby powstała?

Agnieszka Pomaska: Mam poczucie, że jako parlamentarzystka stosunkowo rzadko mam możliwość mówić do większego grona o sprawach środowiska, które gdzieś w tej debacie politycznej – także w związku z tym co się działo przez ostatnie cztery lata w Polsce – mocno uciekały. Chociaż z drugiej strony temat ochrony środowiska dosyć regularnie stawał się też tematem politycznym i, co w jakimś sensie zaskakuje, taką kwestią, która także dzieliła scenę polityczną. Osobiście wydaje mi się, że kwestie dotyczące środowiska, zmian czy zagrożeń klimatycznych to sprawy nas wszystkich, niezależnie od tego, czy jesteśmy z PO, Nowoczesnej, PiS-u czy Lewicy. Okazuje się jednak, że nawet jednoznaczna odpowiedź na pytanie o to, czy powinniśmy chronić przyrodę nie jest taka oczywista – przynajmniej nie w polskim parlamencie, co jest bardzo smutne, bo trudno mówić o celach klimatycznych czy wspólnej racji stanu, jeśli nawet na tej naszej lokalnej polskiej scenie politycznej nie ma wśród polityków zgody co do tego – i to jest chyba największa abstrakcja – czy zmiany klimatyczne istnieją, czy nie. Są politycy, łącznie z najważniejszymi osobami w państwie, którzy to podważają. Dlatego na pewno dużo trudniej przenosić tę debatę na poziom europejski, co jednak nie oznacza, że nie powinniśmy tego robić. Dla mnie kwestią oczywistą jest to, że Europa powinna być, i zdaje się, że jest, liderem, jeśli chodzi o cele klimatyczne, środowiskowe, ale Europa potrzebuje w tej sprawie także jedności i jednomyślności. Dla nas, polityków, to powinien być cel, żeby za te cztery lata to już nie był przedmiot sporu – czy środowisko należy chronić, czy nie – ale żeby było to oczywiste. Ja, jako polityczka opozycji, powinnam sobie postawić za cel, żeby ten stan rzeczy zmienić. Żeby kwestie ochrony środowiska wyszły ponad polityczne spory. Założyłam w sejmie zespół parlamentarny „Zerwij z plastikiem", w którym staram się wychodzić poza te podziały, które powinniśmy odrzucić przy kwestiach środowiskowych.

Anita Sowińska: Oczywiście możemy, a nawet musimy, mówić o europejskiej racji stanu, a właściwie o światowej racji stanu. Denerwują mnie stwierdzenia podważające zmiany klimatyczne.

Musimy opierać się na wiedzy naukowej. Kiedy ktoś w rozmowie ze mną podważa wpływ człowieka na ocieplenie klimatu, to podaję przykład Ziemi, która jest okrągła – kiedyś, wcale nie tak dawno temu, ludzie w to nie wierzyli, ale jest to naukowo udowodnione. Tak samo jest ze zmianami klimatycznymi. Mój mały apel do Państwa: nie dajcie się wciągnąć w dyskusję, czy zmiany klimatyczne są czy nie są faktem. One po prostu są i należy piętnować stanowiskoludzi, którzy twierdzą inaczej, ponieważ podważają dowody naukowe. Koniec z dyskusją na ten temat. Jesteśmy światową wioską. To, co robimy tutaj w Polsce ma wpływ na to, jak żyją ludzie w Afryce, a także jak będą żyć przyszłe pokolenia. Jestem menedżerką i uważam, że jeśli chcemy coś poprawić, a w tym momencie chcemy uratować naszą planetę – trzeba opierać się na liczbach, ponieważ jeżeli czegoś nie można zmierzyć, to nie można tego poprawić. Odwołam się zatem do Global Footprint Network, który pokazuje, jaki wpływ na planetę ma dany kraj i jaki wpływ ma na nią mieszkaniec Niemiec, Polski czy USA, czy jest tak zwanym dłużnikiem, czy wierzycielem kolejnych pokoleń i innych nacji. Na ich stronie internetowej jest mapa świata, która wyraźnie pokazuje, że my, kraje rozwinięte, czyli Europa, USA, ale także Chiny, jesteśmy dłużnikami przyszłych pokoleń, a także żyjemy na koszt tych ludzi, którzy żyją w Afryce. To nasza wspólna odpowiedzialność, dlatego powinniśmy podejmować działania i wychodzić z inicjatywami proekologicznymi.

Reneta Sokol Jurković: Przede wszystkim, dziękuję za zaproszenie do panelu i możliwość dyskutowania o tak ważnym globalnym temacie – zmianach klimatycznych. Przygotowałam dane weryfikujące dotychczasowe wypowiedzi. Tak jak wspomniano, jestem z zawodu klimatologiem, na co dzień pracuję z zagadnieniami klimatu oraz zmian klimatu, głównie z danymi, które mówią jasno – globalne ocieplenie jest rzeczywistym problemem, wywołanym przez człowieka i jego emisje gazów cieplarnianych. Oto dane: od 1880 roku średnia temperatura na Ziemi wzrosła o 0,8 C, a stężenie dwutlenku węgla jest wyższe o 35%. Według moich obliczeń mieszkaniec Unii Europejskiej emituje średnio 6,4 tony dwutlenku węgla. Średnia światowa wynosi 5, a jeśli chcemy walczyć ze zmianami klimatu, musimy zmniejszyć tę wartość do 2 ton. Jak wspomniałam, dziś wartość ta wynosi 6,4. Jako naukowiec, biorąc pod uwagę dane i projekcje klimatyczne, nie jestem pewna, czy uda nam się utrzymać globalne ocieplenie poniżej poziomu 2 stopni, a o 1,5 stopnia nie możemy nawet pomarzyć. Jeśli będziemy kontynuować dotychczasowy kierunek w biznesie, osiągniemy poziom 1,5 jeszcze przed rokiem 2030. Jeśli chcemy utrzymać go poniżej 1,5, globalne emisje powinny zostać ograniczone o połowę przed rokiem 2030. Czy możecie sobie wyobrazić ograniczenie swoich emisji dwutlenku węgla o połowę? Aby to się udało, wymagane jest wprowadzenie radykalnych zmian w naszych metodach produkcji energii, produkcji jedzenia, a także transportu. A dlaczego 2 stopnie? Każda

ADAM WAJRAK

Dziennikarz związany z "Gazetą Wyborczą", przyrodnik, podróżnik. Działacz na rzecz ochrony przyrody. Autor książek o tematyce przyrodniczej m.in.: "Wilki", "Lolek", "Umarły las" czy "To zwierzę mnie bierze".

AGNIESZKA POMASKA

Posłanka Platformy Obywatelskiej

Fot. Tomasz Ogrodowczyk

wartość powyżej 2 stopni spowoduje transformacje, do których człowiek nie będzie się w stanie przystosować. Jeśli globalne ocieplenie osiągnie poziom 2-3 stopni, zniknie wiele gatunków, podniesie się także poziom mórz oraz zwiększy się ilość obszarów pustynnych w południowych częściach Europy. Wspomniałam poziom morza. Szacuje się, że poziom mórz podniesie się przed 2100 rokiem o około pół metra. Niektóre kraje, czego nie jesteśmy świadomi w Europie, znikną, co spowoduje też nowe migracje na całym świecie. Zmiana klimatu jest problemem globalnym manifestującym się w różny sposób w różnych częściach świata - w Europie zaobserwujemy ogromną różnicę między bardziej wilgotną północą i bardziej suchym południem. A według projekcji, w zależności od różnych scenariuszy, ocieplenie wzrośnie o kolejne 0,3, by osiągnąć wartość ponad 5 stopni. Oczywiście przy takim wpływie na naturę jesteśmy swoimi największymi wrogami niszczącymi własne podstawy, jak i podstawy naszej cywilizacji. Zainteresowanie ludzi tematem zmian klimatycznych w ostatnim okresie wzrosło, jednak gdy trzeba przejść do działania, tylko nieliczni pozostaną na placu boju. Walcząc ze zmianami klimatycznymi nie zobaczy

się efektów w ciągu tygodnia czy roku. To praca długoterminowa.

Katarzyna Jagiełło: Rok temu dowiedzieliśmy się o dwunastu latach – dwunastu latach, w ciągu których powinniśmy ogarnąć naszą politykę, ogarnąć naszą gospodarkę i ogarnąć, że rozwój dla rozwoju i wzrostu niesie nam śmierć, zniszczenie, pożogę i apokalipsę. Miałam nadzieję, iż spotykając na scenie aktywne polityczki, nie będziemy już musieli rozmawiać o rozmawianiu. Zastanawiam się, czy w ogóle mamy jeszcze czas na to, żeby co cztery lata to politycy, którzy muszą utrzymać swoje partie, zdobyć zaplecze i popularność, decydowali o tym, czy nasze dzieci i nasze wnuczki będą miały w miarę godną przyszłość. Na razie niestety wszystko wskazuje, że szanse na to są nikłe. Potrzebujemy demokracji jak kania dżdżu albo jeszcze więcej. Przed nami największe wyzwanie, z jakim nasza planeta i ludzkość miały okazję się mierzyć. Mówimy tutaj nie tylko o przetrwaniu gatunku ludzkiego, ale także o przetrwaniu wszelkich form życia na tej planecie. Potrzebujemy demokracji jak kania dżdżu. I tu wątpliwość, czy my w ogóle możemy sobie pozwolić na jeszcze dwa odbywające się co cztery lata festiwale obietnic wyborczych, w momencie kiedy naukowcy mówią, że kalkulacje odnośnie czasu, jaki nam pozostał na wprowadzenie zmian koniecznych, żeby powstrzymać katastrofę klimatyczną, może być przeszacowany. Słyszeliście państwo na pewno o tym, że lasy amazońskie płoną, płonią Afryka i tundra – płonie planeta. Obecnie tylko 4% ssaków na ziemi to dziko żyjące zwierzęta. Reszta biomasy ssaków to ok 35% ludzi i 60% zwierząt hodowlanych. 80% wszelkiej ziemi uprawnej na planecie Ziemia przeznaczona jest pod uprawę pasz czy pastwiska dla zwierząt. Cały czas podkreślam termin „planeta Ziemia , ponieważ musimy myśleć globalnie. Europa to część świata, która ma stosunkowo progresywne polityki środowiskowe i klimatyczne – pewnie najlepsze na świecie, ale nadal wspiera chów przemysłowy, korzysta z węgla czy hoduje rzepak na biopaliwa. Nie będziemy mieć dobrej demokracji, państwa prawa, sztuki i kultury, żadnego obszaru życia innego niż dramatyczna walka o przetrwanie, jeśli nie zadbamy o to, jak będziemy żyć we wspólnym domu, którego fundamenty muszą powstać teraz oparte o twarde i zdecydowane działania.; Tymczasem na przykład KO mówi o 33% OZE w miksie, a PiS mówi o 27% – te liczby niewiele się różnią, żadna nie odpowiada wyzwaniom energetycznym naszego kraju. Padają deklaracje o odchodzeniu od węgla, ale dopiero w 2040 roku... My jednak musimy te wszystkie decyzje wdrażać w życie w przeciągu jedenastu lat, a nie tylko o nich opowiadać. I kiedy słucham tych rozmów, kiedy czytam programy – nie mam słów. Mówimy o zagrożeniach klimatycznych od lat, a jednak jedyna partia, która konsekwentnie w Polsce dba o zielone sprawy, to Zieloni, trzymam kciuki za ich sukcesy, za to, że zarażą prawdziwą merytoryczną pracą inne partie. Czy możemy sobie jeszcze pozwolić, żeby nasza demokracja polegała na demokracji partyjnej? Czy to nie powinny być panele obywatelskie, związane blisko z naukowcami? Czy nie powinniśmy oddać kwestii klimatycznych poza te partie, które co cztery lata obiecują niesamowite rzeczy, a potem mówią „nie wyszło"?

Przemysław Staciwa: Zdaję sobie sprawę, że problem jest globalny. Temat zadany przez organizatorów związany jest z zadaniami dla Europy, ale myślę, że warto go poszerzyć. Zwrócę się teraz w stronę Adama Wajraka, który pewnie doskonale zna dane na temat tego, z jaką prędkością giną obecnie gatunki...

Adam Wajrak: Tego tak naprawdę nie wie nikt. Chciałbym jednak zacząć od tego, że tytuł panelu wydał mi się nieco ironiczny – „Jak ocalić planetę dla naszych dzieci". To nie jest kwestia planety. Ona sobie poradzi, przeszła już sześć wielkich wymierań. Istotna kwestia to jednak to, jak ocalić nasze dzieci, a dokładnie wasze dzieci, bo ja ich nie mam. Muszę powiedzieć, że kiedy patrzę na tę sprawę z obecnej perspektywy, to to okienko wydaje mi się coraz mniejsze i decyduje o tym cała masa czynników. To oczywiście czynnik emisji, o którym mówiły Reneta Sokol Jurković i Katarzyna Jagiełło. Te emisje rosną bardzo szybko w skali globalnej i jak powiedział Marcin Popkiewicz: „z prawami fizyki nie ma negocjacji". Nie będziemy negocjować z podgrzewającą się planetą. Mamy coraz mniej dzikiej przyrody, która mogłaby być buforem dla zmian klimatycznych. Jak wiemy, dzika przyroda świetnie radzi sobie ze zmieniającym się klimatem – to widać na przykładzie Puszczy Białowieskiej i w tzw. lasach posadzonych przez człowieka, które w ogóle nie potrafią temu podołać. Wreszcie bardzo ważną rzeczą są społeczeństwa, a szczególnie społeczeństwo polskie, które przez całe lata nie zostają przygotowane do poradzenia sobie z tak skomplikowanym wyzwaniem. Zmiany klimatu i zmiany planetarne wymagają narzędzi do ich zrozumienia. Obrażamy się na polityków, ale nasze społeczeństwo, które tych polityków wydało, nie ma do tego odpowiednich narzędzi. Nie mamy dobrej edukacji, stopień czytelnictwa jest niski, społeczeństwo jest rozwarstwione. Myślę, że tym, co przeszkodzi nam w uporaniu się ze zmianami klimatycznymi jest coś, co ja nazywam trumpocenem. Trumpocen to sytuacja, w której politycy mówią „powrót do przeszłości jest możliwy" i osiągają świetne wyniki wyborów w rozwarstwionych, pod względem edukacyjnym, równościowym i materialnym, społeczeństwach – przykłady stanowią Stany Zjednoczone, Brazylia, Polska. Ci politycy mogą szaleć, bo społeczeństwa, w których sprawują władzę są takie, a nie inne. Jeśli mamy sobie poradzić ze zmianami klimatu – i to jest aspekt europejski – to możemy sobie poradzić tylko w ramach bardzo dużych, silnych organizmów międzynarodowych. Takim organizmem jest Unia Europejska. Mamy zatem kilka bardzo ważnych faktorów, które mogą zadecydować o tym, czy sobie z tym poradzimy i czy

nasze dzieci przetrwają, czy jednak sobie nie poradzimy i nasze dzieci nie przetrwają, a przynajmniej nie przetrwa ta cywilizacja, którą znamy... Kiedy chodziłem po Puszczy Białowieskiej i patrzyłem sobie na ten piękny, niewielki ogródek – 600 km² po polskiej stronie to naprawdę niewiele – to pomyślałem, że wystarczy mi tego ogródka do końca życia i nie obchodzi mnie, co stanie się z tą cywilizacją, ponieważ cała reszta nie potrafi się zachowywać odpowiedzialnie. Ale potem pomyślałem też, że jednak strasznie głupio i nieprzyjemnie jest być dziadkiem w świecie z Mad Max'a. I że jednak trzeba coś robić.

Przemysław Staciwa: Mam wielką ochotę wywołać polityczki do odpowiedzi na apel Katarzyny Jagiełło, która wzywa do działania i zakończenia dyskusji. Jestem ciekawy, jakie są pomysły na rozpoczęcie tego działania. Bo rzeczywiście od pięknej, gładkiej mowy lasy nie rosną, a zanieczyszczenia nie stają się mniej intensywne.

Anita Sowińska: Przyznaję, że zostałam polityczką i zdecydowałam się pokonać drogę od ekonomii do polityki właśnie dlatego, że byłam niezadowolona z faktu, że politycy nie podejmują żadnych działań albo podejmują działania pozorne jeśli chodzi o kwestie klimatyczne i ochrony środowiska. Wszyscy zgadzamy się tutaj co do diagnozy sytuacji, że jest zła. Natomiast tematem tego panelu jest „jak uratować tę planetę" czy jak uratować nasze dzieci i tu proponuję przejść do potencjalnych rozwiązań. Sprawa nie jest prosta i trzeba na nią patrzeć w sposób systemowy. Osobiście uważam, że to muszą być działania podjęte w kilku obszarach jednocześnie: w energetyce, gospodarce obiegu zamkniętego, przyrodzie i jej ochronie, edukacji, transporcie czy rolnictwie. Natomiast, zgodnie z regułą Pareto, według której 20% naszych działań powinniśmy skierować na to, co przynosi najlepsze efekty. Uważam, że priorytetem dla Polski jest sprawiedliwa transformacja energetyczna i to jest to, od czego powinniśmy zacząć. Musimy odejść od węgla, ale to odejście powinno być stopniowe, przy uwzględnieniu interesów pracowniczych, a także interesów osób, których nie stać na wymianę pieców. Za mało mówi się też moim zdaniem w Polsce o tym, o czym w Europie Zachodniej mówi się już dużo więcej – o gospodarce obiegu zamkniętego. Ponieważ drugim elementem, który ma największy wpływ na emisję CO2 jest to, ile zasobów Ziemi zużywamy., a zużywamy ich za dużo. Rozwiązaniem jest ekonomia cyrkularna. Unia Europejska idzie w tym kierunku na przykład jeśli chodzi o strategię dla plastiku, ale to nie wystarczy. Musimy przekonać i współpracować z przedsiębiorcami tak, abyśmy przestawili tę naszą gospodarkę ze zużycia liniowego surowców na ponowne zużycie i naprawę. Powinniśmy zapobiegać powstawaniu odpadów i wydaje mi się, że my, politycy mamy tu do spełnienia bardzo dużą rolę. Odniosę się jeszcze do propozycji panelu obywatelskiego. Jestem bardzo za tym i jest to moje marzenie, aby w nowym parlamencie powołać tego rodzaju ogólnokrajowy panel obywatelski, składający się z około stu osób, wylosowanych zgodnie z filozofią panelu obywatelskiego, bo wiemy już, że na przykład w Irlandii ta forma się bardzo sprawdziła. A zatem jeżeli ja, jako polityczka, będę miała taką możliwość – na pewno będę za wprowadzeniem tej propozycji.

Przemysław Staciwa: Nie jest moim celem wchodzenie w temat polityki podczas tego panelu, jednak wydaje się to nieuniknione, ponieważ to politycy mogą wdrożyć odpowiednie, przeciwdziałające zmianom klimatu działania. Nie jest także moim celem krytykowanie Koalicji Obywatelskiej, ale niestety jej przedstawiciele, w kwestii kluczowych zagadnień potrafili w poprzednich latach głosować ramię w ramię z politykami obecnie rządzącymi w polskim

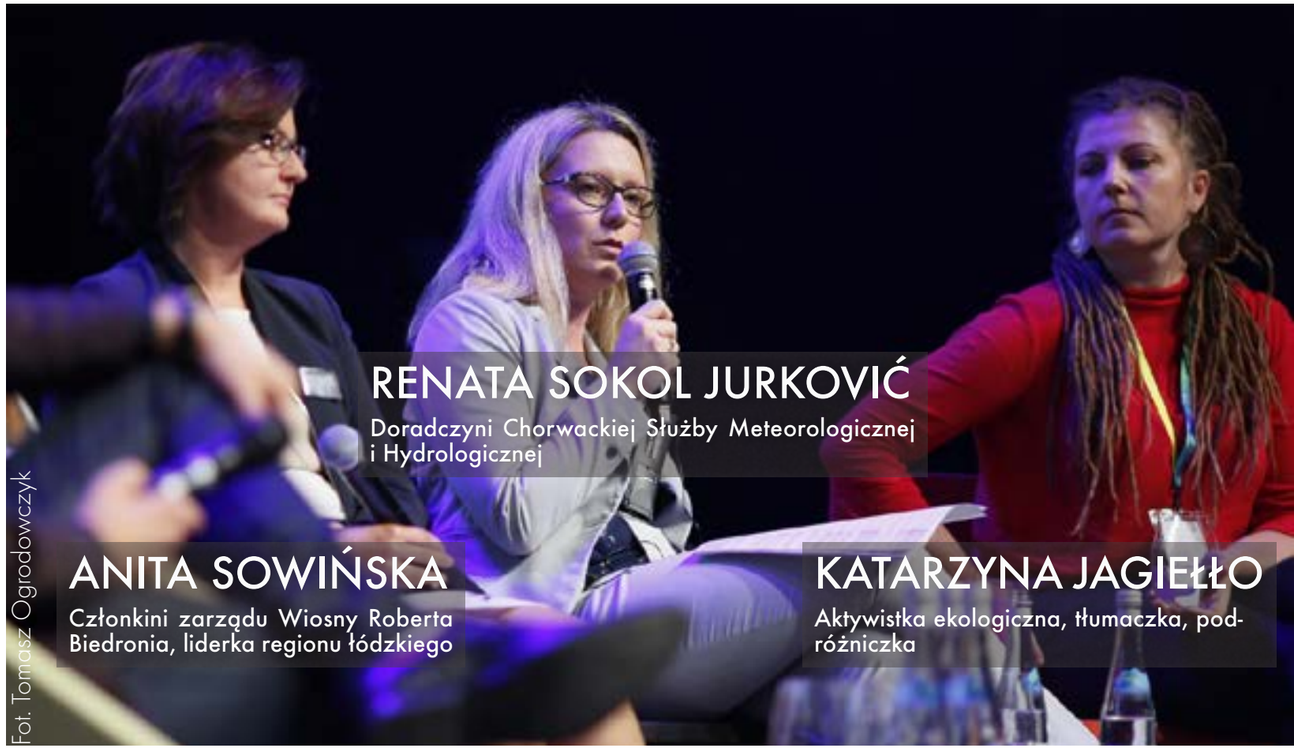

Fot. Tomasz Ogrodowczyk

Ilustracja: Olga Łabendowicz

parlamencie. Chyba można powiedzieć, że już czas najwyższy abyśmy się, mówiąc kolokwialnie, ogarnęli. Być może zabranie ze sobą na pokład Zielonych faktycznie diametralnie zmieniłoby kurs największej partii opozycyjnej.

Agnieszka Pomaska: Przede wszystkim dziękuję za presję, którą organizacje pozarządowe, w tym Greenpeace, wywierają na partiach politycznych – w tym także na mnie. Rola polityka jest taka, że podejmuje pewne działania również dlatego, albo z reguły dlatego, że pojawia się jakaś presja, więc nie jest w tym co robi osamotniony. Zawsze możecie też powiedzieć: sprawdzam – możecie sprawdzić jakie pojawiały się interpelacje, jakie zapytania, jakie konferencje, zwłaszcza w kwestii ochrony środowiska. Nie chciałabym jednak, żeby tym razem nasza dyskusja skończyła się na rozmowach. W pełni popieram postulat Polski bez węgla do 2030 roku, ale jest to też kwestia odpowiedzialności, czy da się to zrobić w taki sposób, żebyśmy mogli w tym roku 2031 spotkać się w takiej sali, w jakiej siedzimy dziś i mieć pewność, że mikrofony będą działać, a prądu nie zabraknie. Trzeba zatem zastanowić się, jak ma do tego dojść. Myślę, że takim konkretnym przykładem, który wymaga zmiany jest chociażby decyzja o budowie Elektrowni Ostrołęka. Ona nie jest i nie będzie rentowna. W sytuacji, w której 26% węgla w Polsce to węgiel importowany, a proces ten ciągle postępuje i przyspiesza – odpada już argument, który bardzo długo funkcjonował jeśli chodzi o węgiel i związany był z tym, że z kopalniami i węglem, które mamy, trzeba przecież coś zrobić. To moje zobowiązanie na najbliższe cztery lata – aby faktycznie podejmować realne działania, bo w pełni się z tym zgadzam. Ja także mam dzieci i wiem, że działam w sprawie zarówno swojej, jak i ich przyszłości. Kluczem jest kwestia, która została już poruszona, a mianowicie kwestia edukacji. Nikt nie wywrze presji na nas tak, jak własne dzieci. Moje dzieci są jeszcze małe, chodzą do drugiej i czwartej klasy szkoły podstawowej, natomiast okazuje się, że wiedzą już jakie zagrożenie powoduje plastik czy zanieczyszczone powietrze. Ale nie jest to powszechne, dlatego uważam, że właśnie edukacja także jest w tej sprawie kluczowa.

Przemysław Staciwa: Edukacja to świetny postulat, ale wiąże się z pracą u podstaw, która wymaga czasu, rozłożenia na lata, a my tych lat niestety nie mamy. Bardzo trudno nam jednak przejść do konkretów i jest to, jak mi się wydaje, karkołomne zadanie...

Adam Wajrak: Dlatego wyobrażam sobie, że politycy powinni być elitą. Elita polega na tym, że nie płynie z prądem, ale kształtuje społeczeństwo. Trudno będzie nam sobie poradzić. W związku z tym uważam, że politycy powinni mówić ludziom prawdę: nie będzie łatwo – zużycie energii musi się zmniejszyć, muszą wzrosnąć jej ceny. Wzrosną też ceny żywności. Jeśli chcemy przetrwać, to musi też się skończyć *business as usual*. Edukacja powinna polegać na tym, że ludzie zyskują narzędzia do zrozumienia na przykład tego, czym się różni opinia od faktu. Ten sam problem co przy środowisku pojawia się przy prawie, przy polityce i przy wielu innych sferach. W związku z tym to okienko, w którym musimy się zmieścić, jest szalenie małe.

Katarzyna Jagiełło: Zgadzam się, to okienko jest już niemal zamknięte. Ucieczka w edukację to marzenie o lepszym świecie i delegowanie pracy na nasze dzieci, a to my nawaliliśmy, więc my powinniśmy to jak najszybciej posprzątać. Tak, to bardzo trudny moment, bo politycy muszą

wyjść do ludzi i postarać się, żeby nie być jak ta ryba płynąca z prądem, ale mówić te prawdziwe, trudne i niekomfortowe rzeczy, które my tu dzisiaj mówimy. Bardzo chciałabym być z tej mniejszości, która jest trochę szalona, trochę się myli i trochę przerysowuje, ale tak nie jest, dlatego staramy się przywoływać do odpowiedzialności. Dlatego chciałabym zapytać Panią poseł, dlaczego Koalicja Obywatelska mówi, że nie zamknie żadnej elektrowni węglowej dopóki będą one funkcjonować, czyli dopóki nie skończy się okres zatruwania przez nie środowiska i palenia węgla. Jesteśmy w momencie, w którym żadne z naszych pytań nie powinno być uważane za nieprzyzwoite, nie na miejscu, zbyt obrazoburcze czy buntownicze. Żyjemy tutaj, w jednym zakątku wszechświata, o który musimy dbać, bo szukanie innych zakątków nam nie wyszło. Zadałam to pytanie, bo chcę sprawiedliwego świata. Jeśli dla obydwu siedzących obok pań posłanek kwestie kryzysu klimatycznego i utraty różnorodności są tak ważne, to czy myślicie panie, że w obrębie ciał, które reprezentujecie, macie przestrzeń na to, żeby zmienić ten konsensus, który jest także związany z technicznymi realiami utrzymania swojej partii?

Agnieszka Pomaska: Zawsze mam świadomość, że kiedy polityk spotyka się z przedstawicielami organizacji pozarządowych, osobami zaangażowanymi w temat ochrony środowiska w stu procentach – mnie polityka nie pozwala całkowicie zaangażować się w jeden temat – to nie będzie to spotkanie łatwe. Przyjmuję jednak takie zaproszenia, bo one dają mi siłę do walki w ramach partii, którą reprezentuję. Mam takie poczucie prowadząc kampanię wyborczą, że opieram ją o kwestie środowiskowe, choć muszę przyznać, że sprawy dotyczące klimatu są dla ludzi trudniejsze. Dlatego tej transformacji energetycznej, zmian i cięć, o których mówiliśmy nie przeprowadzimy bez dobrej edukacji, dlatego będę jej bronić. Jeśli po drugiej stronie będziemy mieli bunt ludzi, to nie zrobimy nic. Podczas tej kampanii pomyślałam, że muszę zacząć od siebie. Czas kampanii wyborczej to także czas, kiedy ludzie bardziej interesują się polityką i można do nich dotrzeć z innymi tematami, ale druga sprawa to to, że mam także wewnętrzną potrzebę, aby to, co mówię nie było sprzeczne z tym, co robię. I zachęcam do tego także innych kandydatów, bo koniec końców zawsze coś nowego i ciekawego zostaje nie tylko we mnie, ale także w ludziach. Rozmowy takie jak ta są istotne, bo bez tego nie zmienimy przyszłości.

Przemysław Staciwa: Reneta Sokol Jurković podała na początku dane, które potwierdziły, że czasu zostało niewiele, a te jedenaście lat to moment graniczny – nie dla planety, ale dla naszych dzieci i dla naszej cywilizacji.

Reneta Sokol Jurković: Zgadza się, nie ma czasu. Za dwanaście lat osiągniemy punkt przełomowy. Przedstawię jednak inną perspektywę,

z punktu widzenia liberalnego. Podczas wywiadu w telewizji reporter zapytał mnie o to, co sądzę o zmianach klimatu. Odpowiedziałam, że to nie jest tak, że musimy wrócić do epoki żelaza i wprowadzać jakieś ograniczenia. Według mnie to nie tak. Przystosowanie się do zmian klimatu to szansa. Przede wszystkim szansa na rozwój i innowacje - by dać sobie szansę na kreatywność i innowacyjność – to nasza odpowiedzialność wynikająca z tego, że jesteśmy politykami (należę do Partii Liberalnej w Chorwacji) – przygotowując ramy prawne, zwłaszcza dla sektora prywatnego, umożliwiające prace nad nowymi technologiami, które mogłyby nam zapewnić czystą energię zastępując węgiel, a także inne formy transportu. Jak wspomniałam wcześniej, największymi emiterami są transport i produkcja energii. Powinniśmy przystosować naszą produkcję energii, używać energii słonecznej, a może nawet ponownie rozważyć energię nuklearną. Być może wyłącznie tymczasowo, gdyż teraz musimy działać szybko, a transformacja energii opartej o węgiel na czystą energię nie jest transformacją szybką. Musimy znaleźć sposób, by to zrobić. Oczywiście czysta energia to ogromne wyzwanie, istnieje jednak nisza, którą należy wziąć pod uwagę, mianowicie przechowywanie energii, czyli baterie. Chodzi o to, że odnawialne źródła energii generują energię, która musi być gdzieś przechowywana. Istnieje także rynek obrotu emisjami. Jest to coś, co dobrze było by wdrożyć, podobnie jak podatki od emisji, które nie są zbyt popularne w Stanach Zjednoczonych. Należy jednak wziąć pod uwagę, w jaki sposób zmusić ludzi do pracy nad zmianą klimatu. Teraz tylko sobie rozmawiamy, jednak jeśli jeździsz rowerem do pracy, a pada deszcz, to najpewniej, wiele się nad tym nie zastanawiając, wsiądziesz w samochód i pojedziesz do pracy. To główny problem. Mamy także różne poziomy mierzenia się ze zmianami klimatycznymi. Na poziomie kraju promowane są konkretne gałęzie produkcji energii. Na poziomie miasta tworzy się infrastrukturę rowerową lub transport publiczny. I wreszcie, na poziomie osobistym – jaki wybierzesz środek transportu i jaki rodzaj energii zostanie wykorzystany.

Adam Wajrak: Chciałbym tylko powiedzieć, że nie wierzę w scenariusz, według którego będziemy dalej żyć tak komfortowo jak żyjemy przy tak dużym zużyciu energii. W tej chwili odnawialne źródła energii wraz z energią nuklearną to może 20-kilka procent światowej produkcji energii. Nawet jeśli będziemy chcieli rozwinąć energię nuklearną, to w tej chwili uranu, przy zużyciu jakie mamy w tej chwili, wystarczy na sto lat. Jeśli je podwoimy, to wystarczy go na pięćdziesiąt. Zatem jeżeli będziemy bardzo gwałtownie rozwijać odnawialne źródła energii, których osobiście jestem fanem, to pamiętajmy też, że są one oparte na przykład na metalach ziem rzadkich i możemy sobie zafundować katastrofę w zupełnie innym miejscu. Cały nasz świat jest oparty na olbrzymim zużywaniu energii. Obawiam się, że bez gwałtownych cięć naprawdę sobie nie poradzimy. Problem w tym, że zmiany klimatyczne nie wyglądają jak Hitler. Nie ma kogoś kto bombarduje nasze miasta. Ewolucyjnie nie jesteśmy przystosowani do wyłapywania tak rozciągniętych w czasie zagrożeń. Jesteśmy przystosowani do tego, żeby uciekać przed drapieżnikiem, który chce nam odgryźć nogę. Należy jednak powiedzieć sobie jasno, że tak wygodne życie będzie musiało się zmieniać i ograniczać, ponieważ nawet przy tym rozwoju technologicznym, który w tej chwili mamy – nie widzę źródeł energii, które zapewniłyby nam to samo co mamy z powodu ropy, gazu i węgla, które są znakomitymi źródłami energii, poza tym, że powodują zmiany klimatyczne.

Przemysław Staciwa: Mamy tu mówić o zadaniach dla Europy, ale nie sposób nie mówić o tych zmianach też w kontekście globalnym. Chwilę przed tą debatą na facebooku Jaś Kapela podesłał mi zapytanie o występującego tu wcześniej profesora Balcerowicza, który w jednym z wywiadów miał powiedzieć, że tak naprawdę nie mamy co się tym wszystkim w Europie przejmować, bo i tak zadecydują Chiny, Indie i Stany Zjednoczone...

Adam Wajrak: Powinniśmy się przejmować, bo Europa może i powinna być liderem. My w Unii Europejskiej mieszkamy w najbogatszym, najbezpieczniejszym i najlepiej wyedukowanym klubie na tej planecie. Jeżeli ktoś ma to zmienić, to Unia Europejska, która musi się trzymać razem. I dlatego w kontekście zmian klimatycznych powinniśmy wejść do strefy euro. To są ważne wyzwania. Poradzimy sobie tylko jeśli będziemy razem, w ścisłym w związku. Mierzymy się z potwornym zagrożeniem. Takim, którego ludzkość nie miała przynajmniej od dziesięciu tysięcy lat. A mamy do spłacenia też pewien dług, ponieważ całe bogactwo europejskie jest zbudowane na wysysaniu całej planety. My też z tych dóbr korzystamy, zatem jako Europa mamy pewne obowiązki wobec planety. Powinniśmy dalej iść ścieżką oświeceniową, z której chce nas zawrócić PiS. Jeżeli zepsujemy Unię Europejską, to na pewno nie poradzimy sobie ze zmianami klimatu i czeka nas Mad Max.

Przemysław Staciwa: Dźwięczy mi w głowie to, co powiedziała Anita Sowińska: że możecie państwo wyśmiewać tych, którzy negują wpływ człowieka na zmiany klimatu. Otóż wydaje mi się, że to jeden z kluczowych problemów, bo w Polsce szereg ludzi ma wpływ na to, że te zmiany nie są brane na serio. Krótki przykład: wczoraj wsłuchiwałem panelu z udziałem dziennikarzy. Redaktor Pacewicz powiedział o przygotowywanej dla OKO.press ankiecie, która dotyczyła najważniejszych zagrożeń dla Polski w ciągu najbliższych lat. Respondenci, w opozycji do partii rządzącej, wskazywali rzeczywiście jako punkt pierwszy na katastrofę klimatyczną. Natomiast jeśli chodzi o dużą

część naszego narodu, to zmiany klimatu w ogóle nie mieściły się w pierwszej dziesiątce. Pierwsze było LGBT...

Adam Wajrak: Doskonale rozumiem, ponieważ zmiany klimatu są bardzo skomplikowanym procesem, wymagającym naprawdę odpowiedniej wiedzy...

Przemysław Staciwa: Znowu dochodzimy jednak do konkluzji, że nie ma czasu, aby tłumaczyć to wszystko tej części ludzi, która nie chce zmierzać z nami w dobrym kierunku zmian.

Agnieszka Pomaska: Chciałabym nawiązać jeszcze do tematu Unii Europejskiej jako lidera, ponieważ faktycznie ma ona narzędzia do tego, aby konkretne działania prowadzić. Tak jest na przykład z kwestią umowy handlowej z krajami Ameryki Południowej i płonących lasów w Puszczy Amazońskiej. Tu jest konkretne narzędzie i zarazem test, czy w związku z polityką i dawaniem przyzwolenia na te płonące lasy UE powie stop – nie będzie umowy handlowej, jeśli nie zrobicie tam porządku. Takie narzędzia dotyczą nie tylko relacji z krajami Ameryki Południowej, ale to przykład, który może pokazać konkretne działanie. Ludziom często wydaje się, że Unia Europejska jest gdzieś daleko i nic nie może, ale ona pełni ważną rolę polityczną, związaną z podejmowaniem tego rodzaju decyzji.

Anita Sowińska: Oczywiście trzeba edukować społeczeństwo i to jest nasze zadanie – również polityków. Natomiast od wielu lat dyskutujemy o tym, jaka ma być transformacja energetyczna. W tej chwili strategia energetyczna prowadzona przez PiS jest bardzo zła, ale wcześniej, przez wiele lat nie mieliśmy w ogóle żadnej strategii. Dlatego na nas, politykach, ciąży pewna odpowiedzialność za to, żeby myśleć w przyszłość nieco dalej niż tylko cztery lata. Musimy myśleć w perspektywie dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu lat. Mamy narzędzia, mamy dostęp do ekspertów i porady naukowców. Strategię energetyczną powinniśmy, w mojej ocenie, oprzeć na odnawialnych źródłach energii. Zacząć od sieci energetycznych, od zaprojektowania nowego systemu energetycznego. Możemy zacząć od klastrów energetycznych czy od małych miast, które da się przestawić na odnawialne źródła energii. Politycy muszą wziąć odpowiedzialność za system energetyczny w tym kraju.

Katarzyna Jagiełło: Wracając do narzędzi i odpowiedzialności Unii Europejskiej – my w UE żyjemy jak pączki w maśle, nawet jeśli wydaje nam się inaczej. Natomiast jeśli chodzi o narzędzia, to po prostu nie powinniśmy się byli zgodzić na wprowadzenie umowy handlowej, która mimo poważnej nadprodukcji mięsa w Europie umożliwia sprowadzanie przez ocean mięsa z Ameryki Południowej, a nie po fakcie szantażować Brazylię, narażając się na zarzuty merkantylnego podejścia, że unosimy się oburzeniem wyłącznie po to, by sprzedawać własną produkcję. To jest koło, z którego UE musi wyjść... Podzielę się z Państwem cytatem, który idealnie przedstawia wyzwania, jakie stoją przed ludzkością: „Kiedyś sądziłem, że główne problemy ze środowiskiem naturalnym to utrata bioróżnorodności, załamanie się ekosystemów i zmiany klimatyczne. Uważałem, że wystarczy 30 lat dobrych badań naukowych, by poradzić sobie z tymi problemami. Ale byłem w błędzie. Główne problemy ze środowiskiem to chciwość, egoizm i apatia... Aby sobie z nimi poradzić, potrzebujemy zmiany kulturowej i duchowej. A na tym, my, naukowcy, się nie znamy". To powiedział Gus Speth, amerykański prawnik i specjalista od ochrony środowiska. To, co musimy zrobić, to gruntownie zmienić sposób, w jaki żyjemy. Myślę o przyszłości swojej i mojej rodziny, wiem że moja starość nie będzie komfortowa. Obawiam się, że nie przetrwają instytucje społeczne, niedoborów wody, cierpienia związanego z falami gorąca i niedoborami żywności. To nasza przyszłość, o ile nie będziemy drastyczni

w zmianie paradygmatu. Sztuką jest – i według mnie jedynym sensownym wyjściem – wracając do tego, co powiedziała Reneta Sokol Jurković, potraktować te nasze wyzwania jako możliwość wprowadzenia Zmiany, która na przykład skończy z nierównością społeczną. Nie poradzimy sobie z utratą różnorodności biologicznej i kryzysem klimatycznym utrzymując obecny system, nastawiony na konsumpcję i generowanie potrzeb, przy systemoym niezaspakajaniu tych podstawowych, jak szacunek, równościowe podejście czy godność. Aby obronić klimat, planetę i cywilizację – nas i nasze dzieci – musimy zmienić wszystko i musimy zmienić to w taki sposób, żeby były to posunięcia mądre, odpowiedzialne i pełne odpowiedzialności także za innych ludzi. Żeby nikt nie musiał płacić za „ekologiczne winy" kogoś innego.

Przemysław Staciwa: Nadzieje to rzecz ważna, ale wydaje mi się, że w wielu kwestiach istotne jest jednak zmierzenie się z prawdą. Mam znajomego psychoanalityka, zafascynowanego zmianami klimatu, który kiedyś bardzo brutalnie zakończył dyskusję mówiąc, że z jego perspektywy, po latach badania ludzkiej psychiki – sytuacja jest beznadziejna i przesądzona, ponieważ ludzka natura jest taka, że człowiek zawsze dąży do rozwoju i ekspansji.

Katarzyna Jagiełło: To nie jest beznadziejna sytuacja. Jeżeli tak chcielibyśmy zakończyć to spotkanie, to wolałabym, żebyśmy go nie rozpoczynali. To, co nam zostało to odwaga do działania, determinacja, nadzieja, odpowiedzialność i dużo troski o tych, którzy są aktywistami. Polecam książkę Rebeki Solnit *Nadzieja w mroku*, która powinna być lekturą obowiązkową, bo uświadamia że nadzieja jest zasobem odnawialnym i uczy mądrego aktywizmu. Nie możemy załamywać rąk i uciekać w bezwład.

Adam Wajrak: Ja zgodziłbym się ze zdaniem wspomnianego psychoanalityka. Zwierzęca natura ludzka jest dokładnie taka. Natomiast na miejscu polityków starałbym się pokazać ludziom bardzo jasne i konkretne cele. Kiedyś musieliśmy zacisnąć pasa, bo chcieliśmy wejść do NATO czy Unii Europejskiej. Byliśmy wówczas skłonni do poświęceń bo mieliśmy bardzo jasne cele, określone przez polityków. Kiedy te cele się rozmyły – rozpadło się wiele rzeczy. Uważam zatem, że jasnym celem, przynajmniej w polityce krajowej, powinna być konkretna data odejścia od węgla i politycy powinni z tego zostać rozliczeni. Kolejna rzecz to konkretny procent Polski pozostawiony bez ingerencji. Naukowcy mówią o tym, że jeśli chcemy przetrwać, to połowa planety musi być pozostawiona bez ingerencji. Na poziomie Polski to powinno być jakieś 20-30%. To powinno bardzo realnie wybrzmieć w polityce. Musimy oddać dzikiej przyrodzie przestrzeń, bo bez tego nie przetrwamy.

Reneta Sokol Jurković: Zmiany klimatu to problem globalny. Unia Europejska jest jedną z bogatszych i najlepiej wykształconych części świata, jednak to rejony najbiedniejsze najbardziej odczują zmiany klimatu. Może więc my u siebie niczego nie zauważymy, podczas gdy w innej części świata znikną wyspy. Chciałabym wspomnieć o mikroskali – to wszystko, to nasze życie i codziennie możemy wywierać swój wpływ na klimat. To pierwszy krok. Każdy z nas może tego dokonać w swoim małym życiu. Mam trójkę dzieci. Jestem im to winna, by uczyć je oszczędzania wody, lasu, ziemi. Jestem im to winna. Próbuję więc patrzeć na to wszystko z optymizmem. Naprawdę. Z punktu widzenia naukowca, jest to bardzo trudne, ale chcę to zrobić dla moich dzieci.

Anita Sowińska: Uważam, że jest szansa i to duża, ale wiele zależy od polityków. Potrzeba nam polityków, którzy myślą w perspektywie kilkudziesięciu lat. W mojej ocenie tym, co sprawiło, że planeta jest w takim stanie, w jakim widzimy, jest rozwój ekonomiczny i dlatego tam musimy szukać tej pierwotnej, najważniejszej przyczyny i zmienić tę ekonomię. Po pierwsze energia, po drugie mniejsze zużycie zasobów. Politycy mają narzędzia prawne do tego, żeby na to wpłynąć. Kolejną rzeczą jest edukacja, bo tak naprawdę nie wiemy do końca, jakie będą efekty tych zmian. One oczywiście muszą być wdrażane już, ale edukacja pomoże nam też przygotować przyszłe pokolenia do kolejnych wyzwań XXI wieku.

Agnieszka Pomaska: Padło pytanie o konkrety. Myślę, że jednym z takich konkretów jest energetyka obywatelska. Trzeba stworzyć narzędzia, bo pieniądze na to są. Zwrócę uwagę, że co najmniej 25% budżetu unijnego to będą pieniądze przeznaczone na zielone projekty. Zatem pieniądze na to *de facto* są, ale trzeba wiedzieć, jak je wydać. Przejście w stronę energetyki obywatelskiej mogłoby być takim pozytywem w bliskiej perspektywie, bo cały czas mówimy czego nie robić i czego zakazywać. Stworzenie takich ram prawnych, dzięki którym można by było tę energię nie tylko produkować dla siebie, ale także wpuszczać ją do sieci i mieć z tego jakiś zarobek – w tym kierunku powinniśmy iść. ◉

PRZEMYSŁAW STACIWA

Dziennikarz telewizyjny, reporter. Laureat Kryształowego Ekranu Polskiej Izby Komunikacji Elektronicznej. Współpracuje z Liberte! Publikuje lub publikował między innymi na łamach Krytyki Politycznej, Gazety Wyborczej i Tenisklubu.

EDMUND BURKE I KRYTYKA REWOLUCJI,

CZYLI O ŹRÓDŁACH MYŚLENIA KONSERWATYWNEGO

SŁAWOMIR DRELICH

Każda zmiana społeczna – szczególnie zaś gwałtowna zmiana ustrojowa – wymaga uprzedniego uzasadnienia i usprawiedliwienia. Konserwatyści odrzucają bowiem lekkomyślność i opowiadają się za szacunkiem względem mądrości, która wykuwała się przez kolejne pokolenia tradycji.

Zwykle konserwatyzm utożsamia się z postawą domagającą się obrony zastanego porządku społeczno-politycznego, jednakże w rzeczywistości istotą konserwatyzmu jest raczej sceptycyzm – aniżeli niechęć *sensu stricto* – wobec zmiany społecznej, zaś niechęć do zmiany o charakterze radykalnym. Łacińskie określenie *conservare* sprowadza stanowiska konserwatywne do ślepej i niejednokrotnie bezmyślnej obrony *status quo ante*, jednakże nie zawsze jest to ujęcie właściwe, bo nie każdy konserwatysta jest przeciwnikiem zmiany.

Narodziny konserwatyzmu

Jak to jest w przypadku wszystkich ideologii, nurtów myśli społeczno-politycznej czy prądów i ruchów społecznych, trudno zwykle o wskazanie na osi czasu jednego konkretnego momentu, stanowiącego narodziny określonego sposobu myślenia. Tak samo jest również, kiedy próbujemy wskazać moment narodzin doktryny konserwatywnej. Niewątpliwie ważne z punktu widzenia jej kształtowania się są trzy daty roczne, poprzez które możliwe jest zrekonstruowanie kluczowych – jak się wydaje – momentów w formowaniu się nowożytnego konserwatyzmu, rozumianego jako polityczna ideologia i doktryna. Pierwsza z nich to rok 1790. W tym właśnie roku Edmund Burke – „uznawany za ojca nowoczesnego konserwatyzmu"[1] – opublikował dzieło uznawane współcześnie za swoisty manifest doktryny konserwatyzmu, czyli *Rozważania o rewolucji we Francji*. Drugi momentem węzłowym był rok 1820, a mianowicie pierwsze użycie pojęcia „konserwatyzm" przez Françoisa-René de Chateaubrianda w prowadzonym przez niego czasopiśmie pt. „Konserwatysta". Trzecia z dat to rok 1834, kiedy to ogłoszony zostaje pierwszy oficjalny program ugrupowania politycznego o konserwatywnym charakterze, czyli brytyjskiej Partii Konserwatywnej.

Krytyka zmiany radykalnej

Rozważania o rewolucji we Francji stanowią pierwsze dzieło, w którym poddano krytyce w sposób dość uporządkowany i przemyślany rewolucję francuską i wszystkie zmiany, które zaprowadziła. W książce tej Burke tworzy podwaliny tzw. konserwatyzmu ewolucjonistycznego – ideologii sceptycznej wobec wszelkich nagłych i radykalnych zmian, jednak dostrzegających potrzebę społecznej zmiany. W konserwatyzmie ewolucyjnym przyjmuje się potrzebę dokonywania zmiany społecznej w sposób ewolucyjny, przemyślany i racjonalny. Nawet jednakże systematyczna i przemyślana zmiana – jak twierdzą konserwatyści – nie musi skutkować sukcesem, czyli tym, co liberałowie i radykałowie określali mianem postępu i rozwoju. Burke podważał ideały progresywizmu, wskazując, że postęp ani nie jest zjawiskiem koniecznym, ani nie musi mieć charakteru ciągłego, a przede wszystkim nie jest jednoznaczne jego zdefiniowanie i dookreślenie. Burke tworzy tym samym fundamenty pod aksjologiczny i ideologiczny zrąb konserwatyzmu, na który składają się: szacunek do tradycji[2],

pokładanie ufności w religii i autorytecie, wiara w naturalne pochodzenie władzy monarszej i głównych instytucji państwowych

Powściągliwość co do tempa i zakresu zmiany społecznej i ustrojowej Burke werbalizował wielokrotnie. Wskazywał mianowicie, iż „między alternatywą: absolutna destrukcja lub brak reform jest coś jeszcze"[3]. Postulowana przez niego wersja konserwatyzmu zakładała właśnie poszukiwanie swoistego złotego środka w podejściu do zmian. Burke krytykował wszelkie radykalizmy – przede wszystkim zaś postulat rewolucji demokratycznej – sugerując, iż niosą one proroctwo zagłady. Dawny ustrój – ustrój przedrewolucyjny – jest przez niego idealizowany, zaś realia porewolucyjnej Francji demonizuje. Wskazywał, że „wszystko wydaje się zatracać swój właściwy charakter w tym dziwnym chaosie lekkomyślności i okrucieństwa, mieszaninie wszystkich rodzajów zbrodni z wszystkimi rodzajami szaleństw"[4]. Tym właśnie dla konserwatysty są wszelkie radykalne zmiany: chaosem, lekkomyślnością i szaleństwem, które w finale przynoszą społeczeństwu obalenie praw i totalną destrukcję porządku. Demokracja, która postulowana była przez francuskich rewolucjonistów, była przez Burka widziana jako pierwszy krok do oligarchii. Konserwatyzm stanowi zatem postawę sceptyczną wobec gwałtownych zmian ustrojowych, gdyż staje przed obawą zepsucia i zniszczenia starych i sprawdzonych instytucji państwowych.

Konserwatyści na przełomie XVIII i XIX wieku mieli wiele wątpliwości dotyczących konieczności tak radykalnych zmian ustrojowych. Burke wskazywał, że „rewolucja to takie polityczne działanie, które wymaga usprawiedliwienia. Rewolucja obaliła dawny ustrój kraju, lecz nie przywołano żadnych oczywistych racji, które usprawiedliwiałyby tak gwałtowne poczynania"[5]. Każda zmiana społeczna – szczególnie zaś gwałtowna zmiana ustrojowa – wymaga uprzedniego uzasadnienia i usprawiedliwienia. Konserwatyści odrzucają bowiem lekkomyślność i opowiadają się za szacunkiem względem mądrości, która wykuwała się przez kolejne pokolenia tradycji. Niechęć Burke'a do zmiany wiązała się również z jego sprzeciwem wobec przekazywania władzy ludziom do tego nieprzygotowanym oraz oczekiwania, aby władza państwowa miała zawsze charakter służebny względem społeczeństwa. Konserwatyzm w jego pierwotnej postaci odrzucał z oczywistych względów suwerenność ludu, obawiając się ochlokracji. Burke wskazuje, że „za sprawą rewolucji, jaka dokonała się w państwie, wczorajszy lizus i pochlebca staje się surowym krytykiem teraźniejszości. Lecz umysły poważne i niezależne, rozważając sprawę tak ważną dla ludzkości jak ustrój, wzgardzą rolą satyryków i rezonerów"[6]. Postulaty egalitarne, których kolebką była właśnie rewolucyjna Francja, były przez pierwszych konserwatystów zdecydowanie odrzucane jako forma podważenia ładu społecznego czy też „spontanicznie kształtującego się ładu normatywnego,

Photo by Victor Freitas on Unsplash

wyprzedzającego idee własności, uprawnienia i obowiązku"[7].

Krytyka idealizowania rozumu

Konserwatyzm odnosi się również sceptycznie wobec roszczeń nurtów racjonalistycznych. Rewolucja amerykańska i rewolucja francuska większość swoich postulatów oparły na założeniu, iż wszystkie one mogą zostać wywiedzione z rozumu. A zatem to rozum – jak twierdzili osiemnastowieczni rewolucjoniści – powinien stanowić instrument kierowania rzeczywistością społeczno-polityczną. Tymczasem konserwatyści deklarują dobitnie swój pesymizm antropologiczny, czyli przekonanie, iż ze względu na piętno grzechu pierworodnego rozum ludzki bynajmniej nie jest nieomylnym instrumentem poznawczym i decyzyjnym. Bogdan Szlachta wskazuje, że w myśli konserwatywnej „starodawny ustrój władz nie był tworem teoretycznego rozumu, lecz dziełem mądrości praktycznej, uwzględniającej konkretne doświadczenia, naśladującej naturę, w której toczy się walka niezgodnych sił, wiodąca do ustalenia harmonii wszechświata"[8]. Możliwości rozumu – jak dowodzi Burke – są przez rewolucjonistów przeceniane, a tym samym przekreślają oni „doświadczenia gromadzone przez wieki"[9]. Człowiek to raczej istota irracjonalne, nadmiernie ulegająca pożądaniom i pragnieniom, nad którymi także rozum zapanować nie potrafi. Burke w Rozważaniach o rewolucji we Francji dzieli się swoimi obawami co

do zdolności posługiwania się przez człowieka rozumem. Podkreśla, że bałby się „nakazać człowiekowi, by żył i pracował, czerpiąc wyłącznie z zasobów własnego rozumu, sądzimy bowiem, że ten zasób każdego człowieka jest mały, że ludziom powodzić się będzie lepiej, gdy będą korzystać ze wspólnego banku i kapitału narodów i wieków"[10]. A jeśli rzeczywiście rozum człowieka jest omylny i zawodny, to wówczas szczególnie przydatnymi wydają się takie instancje, jak tradycja, przesądy i zwyczaje. Skoro bowiem przez wieki ludzie podejmowali decyzje, kierując się właśnie tymi instancjami, to przecież nie może być tak, że są one nazbyt zawodne.

Jeśli zaś nawet przyjąć istotną rolę rozumu, to wówczas – jak twierdzą konserwatyści – należy pozwolić, aby to ci, którzy wykazali się swą mądrością, wiedzą i doświadczeniem podejmowali decyzje w państwie, aby to oni rządzili tymi, którzy tej wiedzy, mądrości i doświadczenia nie mają. Jak widać więc, pojawia się kolejny argument przeciwko demokratycznym i egalitarnym roszczeniom rewolucjonistów, a zarazem przekonanie o konieczności zgody na jakąś formę elitaryzmu. Elity zaś należy tutaj rozumieć nie tylko jako elity pieniądza i pochodzenia, ale przede wszystkim jako elity charakteru i moralności. Także religia zdaje się być przydatna w trosce o ład społeczny. Konserwatyści bowiem podkreślają wagę wychowania moralnego, a właśnie religia odgrywa tutaj ogromną rolę. Burke pisze, że „my wiemy, a co ważniejsze, czujemy wewnętrznie, że religia stanowi podstawę społeczeństwa obywatelskiego, źródło wszelkiego dobra i wszelkiej otuchy"[11]. Nie rozum zatem, ale religia, tradycje i stare instytucje prowadzą w kierunku mądrości oraz uczą go odróżniania dobra od zła. Religia zaś swą szczególną rolę zawdzięcza również temu, że „zwraca nas ku transcendencji"[12].

Rewolucja francuska była przejawem triumfu ludzkiej woli: nieokiełznanej siły ludzkich dążeń, pragnień i możliwości. Jak się okazało, człowiek jest w stanie obalić budowany całe wieki ład i na jego gruzach zbudować – mniej bądź bardziej sprawnie – nowy świat

Dla konserwatystów istotną rolę w funkcjonowaniu mechanizmu państwowego mają wszelkie autorytety. Rewolucja francuska wszystkie autorytety podważyła, czyniąc z rozumu „autorytet wszelkich autorytetów". Również cały proces wychowania i edukacja powinny być podporządkowane autorytetowi[13], których rola w życiu publicznym, rodzinnym i politycznym jest wielokrotnie przez konserwatystów podkreślana. To właśnie autorytety stanowią okno na poznanie prawdy i zrozumienie otaczającego świata[14], chronią ludzi przed niebezpiecznymi rządami sofistów, chronią to, co można by określić mianem „intuicyjnego objawienia fundamentalnej prawdy"[15]. Jak przekonuje Burke, „wszyscy, niezależnie od miejsca i czasu, urodziliśmy się równi w podporządkowaniu względem wielkiego, preegzystującego prawa obecnego w każdej jednostce, wyprzedzającego nasze istnienie, przez które umieszczeni jesteśmy w wiecznej strukturze uniwersum; prawo nie pochodzi przeto z ludzkich konwencji, przeciwnie – nadaje ludzkim umowom wszelką siłę i sankcję"[16]. Nie rozum jest ścieżką do poznania tego prawa, ale tradycja, religia i autorytet.

Krytyka idealizowania ludzkiej woli

Rewolucja francuska była przejawem triumfu ludzkiej woli: nieokiełznanej siły ludzkich dążeń, pragnień i możliwości. Jak się okazało, człowiek jest w stanie obalić budowany całe wieki ład i na jego gruzach zbudować – mniej bądź bardziej sprawnie – nowy świat. Konserwatyści sprzeciwiają się zdecydowanie takiej lekkomyślności i wręcz głupocie rozentuzjazmowanego tłumu. Nieciągłość i niestałość wyborów ludzkich nie jest niczym dobrym, a wręcz należy określić je jako przyczynę samego zła. Zwolennicy konserwatyzmu odrzucają kontraktualistyczną wizję genezy państwa, wskazując, że nie wolno państwowych instytucji uznawać za efekt umowy społecznej. Nie ludzie siłą własnej woli je powołali, ale są one tworami natury bądź dziełem Boga. Konserwatyści patrzą na państwo jako na żywy organizm, w którym każdy element pełni swoją funkcję i wykonuje właściwe tylko sobie zadania. Organicystyczna wizja państwa odrzuca dowolność w przebudowywaniu i przeformułowywaniu struktur państwowych, a przecież – jak uważają konserwatyści – tym właśnie była rewolucja francuska.

Nie ma również zgody w pierwotnych nurtach konserwatywnych na wprowadzanie powszechnych wyborów i uznanie wyborczej legitymizacji jako oparcia dla władzy państwowej. Burke mówi wprost, że wybory opierające się na szerokim prawie wyborczym obywateli nie różnią się niczym od hazardu, państwo wówczas staje się swoistym polem gry, a mieszkańcy – szulerami. Wola ludu jest nieprzewidywalna, irracjonalna i niebezpieczna. Decyzje mas społecznych wypływają niejednokrotnie z emocji i prostych pożądań, motywowane są zazdrością, zawiścią bądź resentymentem. Burke nie godzi się, aby to wolność stała się naczelną wartością społeczną, „bo i czymże jest wolność bez mądrości, bez cnoty? Jest największym możliwym złem; jest szaleństwem, występkiem i głupotą – pozbawionymi wędzideł i granic. Ludzie znający wolność przepełnioną cnotą nie mogą znieść hańbienia jej przez niegodne ręce na rachunek wzniosłych

słów. Z pewnością nie pogardzam wspaniałym, uskrzydlającym poczuciem wolności"[17]. Wolność musi zawsze iść w parze z mądrością, doświadczeniem, autorytetem i tradycją, natomiast wolność w rozumieniu zaprezentowanym przez rewolucjonistów, radykałów i liberałów zostaje przez konserwatystów odrzucona jako samowola, czyli wolność niebezpieczna.

Wola osoby mądrej i wykształconej oraz wola osoby cnotliwej zostają w ustroju porewolucyjnej Francji czy też w każdym ustroju republikańskim zrównane z wolą człowieka prostego i niewykształconego, niekompetentnego i niemoralnego. Burke krytykuje postulat równości wszystkich obywateli i przyznawania każdemu z nich do swobodnego i nieskrępowanego posługiwania się swoją wolą. Nie godzi się zatem, aby wola każdego człowieka – także niekompetentnego i niemoralnego – miała jakikolwiek wpływ na decyzje dotyczące państwa. W *Rozważaniach o rewolucji we Francji* pisze, że „królowie w pewnym sensie są niewątpliwie sługami swych ludów, bo ich władza nie ma innego celu niż korzyść ogółu, lecz nieprawdę jest, że w utartym sensie tego słowa (przynajmniej wedle naszej konstytucji) są czymś w rodzaju sług, którzy ze swej istoty muszą wykonywać rozkazy innych ludzi i mogą być wedle ich widzimisię odwołani"[18]. Trudno sobie Burke'owi wyobrazić, aby państwo, w którym poprzez wolę obywateli możliwe jest usunięcie władcy, było w stanie spełniać swoje funkcje i kształtować dobrych obywateli. Skoro wola ludzi bywa irracjonalna, nieprzewidywalna, subiektywna i zmienna, wówczas jest to niebezpieczna dla stabilności ustroju siła, destabilizująca rzeczywistość społeczno-ustrojową.

Wola osoby mądrej i wykształconej oraz wola osoby cnotliwej zostają w ustroju porewolucyjnej Francji czy też w każdym ustroju republikańskim zrównane z wolą człowieka prostego i niewykształconego, niekompetentnego i niemoralnego

Historia jako nauka

Dla Burke'a postawa konserwatywna jest najwłaściwszą formą wykorzystywania nauki, jaką człowiek współczesny (tak samo człowiek współczesny Burke'owi, jak również człowiek czasów dzisiejszych) może i powinien wyciągać z historii. Burke przekonuje, że „historia to wielka księga otwarta dla naszego pouczenia, gdy wyciągamy wnioski dla przyszłej mądrości z przeszłych błędów i słabości rodzaju ludzkiego. Jeśli pojmuje się ją opacznie, może służyć jako arsenał ofensywnych i defensywnych broni dla stronnictw w Kościele i państwie, dostarczający środków podsycania i odradzania sporów i animozji, dolewający oliwy do społecznego ognia"[19]. Rewolucja francuska była dowodem na to, jak bardzo odrzucenie nauk płynących z historii może zaszkodzić człowiekowi, strukturze społecznej i kształtowi ustrojowemu państwa. Rewolucja była zerwaniem z przeszłością o charakterze radykalnym i niebezpiecznym. Nigdy nie wiadomo, jakie skutki przyniesie taka radykalna zmiana – nigdy nie wiadomo, czy więcej wypłynie z niej złego, czy dobrego. Radykalna zmiana sprawia, że człowiek traci poczucie bezpieczeństwa w świecie, czuje się zagrożony, a czasami wręcz sfrustrowany czy przerażony.

Burke podkreśla, że najlepszym przykładem narodu czerpiącego naukę z historii i stojącego na straży swoich tradycji są właśnie Brytyjczycy. Wskazuje, że „dzięki naszemu upartemu

przeciwstawianiu się zmianom, dzięki flegmatycznemu lenistwu cechującemu nasz narodowy charakter, nadal nosimy piętno naszych przodków. Jeszcze nie utraciliśmy (jak sądzę) wielkoduszności i godności właściwych duchowi XIV stulecia, jeszcze nie wystylizowaliśmy się na dzikich"[20]. Narody, które nie przekreślają swojej przeszłości, ale budują przyszłość na wielowiekowych tradycjach, unikają wielkich konfliktów społecznych i destabilizacji ustrojowo-politycznej, podtrzymując tym samym poczucie prawnej stabilizacji. Burke jest przekonany, że postawa konserwatywna przede wszystkim stanowi ostoję ludzkiego bezpieczeństwa i zarazem jak najpełniejsze odzwierciedlenie bliskości naturze. ◉

Przypisy:

[1] B. Szlachta, *Konserwatyzm. Z dziejów tradycji myślenia o polityce*, Kraków – Warszawa 1998, s. 36.
[2] J. Szacki, *Tradycja*, Warszawa 2011, s. 27.
[3] E. Burke, *Rozważania o rewolucji we Francji*, przeł. D. Lachowska, Kraków 2000, s. 170
[4] Tamże, s. 30.
[5] Tamże, s. 178.
[6] Tamże, s. 141.
[7] B. Szlachta, *Konserwatyzm. Z dziejów tradycji myślenia o polityce*, s. 33.
[8] Tamże, s. 37.
[9] E. Olszewski, *Ideologia i ruch polityczny współczesnego konserwatyzmu*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Sectio K: Politologia" 1999, nr 6, s. 370.
[10] E. Burke, *Rozważania o rewolucji we Francji*, s. 104.
[11] Tamże, s. 106.
[12] R. Legutko, *Trzy konserwatyzmy*, [w:] tegoż, *Podzwonne dla błazna*, Kraków 2006, s. 161.
[13] K. Eliasz, *Edukacja demokratyczna według Hannah Arendt*, „Filozofia Publiczna i Edukacja Demokratyczna" 2016, T. V, nr 1, s. 212.
[14] Zob. P. Kusiak, *Konserwatywne ideały wychowawcze w dobie dominacji Deweyowskiego paradygmatu edukacyjnego*, „Colloquium Wydziału Nauk Humanistycznych i Społecznych. Kwartalnik" 2013, nr 4, s. 85.
[15] R. Legutko, *Trzy konserwatyzmy*, s. 159.
[16] B. Szlachta, *Edmund Burke wobec szkół prawa naturalnego*, „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej" 1994, T. 39, s. 26.
[17] E. Burke, *Rozważania o rewolucji we Francji*, s. 255.
[18] Tamże, s. 47-48.
[19] Tamże, s. 155.
[20] Tamże, s. 102.

SŁAWOMIR DRELICH

Politolog i etyk; adiunkt na Wydziale Politologii i Studiów Międzynarodowych UMK w Toruniu (Katedra Europeistyki); nauczyciel wiedzy o społeczeństwie w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprowicza w Inowrocławiu; publicysta „Liberté!"; specjalizuje się w etyce polityki i etyce mediów oraz myśli politycznej (populizm, liberalizm, libertarianizm), bada polski dyskurs publiczny; autor książek „Populistów ethos zmanipulowany" i „Wojny trybuna ludowego. Przypadek Andrzeja Leppera".

Magda Melnyk w Bibliotece Liberté!

Magda Melnyk mierzy się z nieprostą próbą udzielenia odpowiedzi na to łatwo brzmiące pytanie. Obrazowo przedstawia historię ścierania się procesów centralizacyjnych z ośrodkowymi, a na tej skomplikowanej osi sporu prezentuje przebieg kształtowania się państwowości hiszpańskiej. Autorka krok po kroku demistyfikuje przeszłość, która zarówno przez nacjonalistów narodowych jak i regionalnych była i jest silnie zniekształcana dla własnych celów propagandowych. Historia stanowi jedynie punkt wyjścia dla wydarzeń współczesnych, które są meritum niniejszej publikacji. Melnyk ukazuje polityczne zależności, które bezpośrednio wpływają na kształt i funkcjonowanie regionów autonomicznych, a także na obecną niewydolność tego systemu gdy starzy gracze (ludowcy, socjaliści, nacjonaliści katalońscy, monarchia) stawiają dziś czoła wielkim aferom korupcyjnym i walczą o przetrwanie. Od dawna oczekiwana reforma konstytucji, która jest jedynym antidotum na współczesny kryzys, nigdy nie wydawała się tak trudna do przeprowadzenia.

BIBLIOTEKA LIBERTÉ!

L!

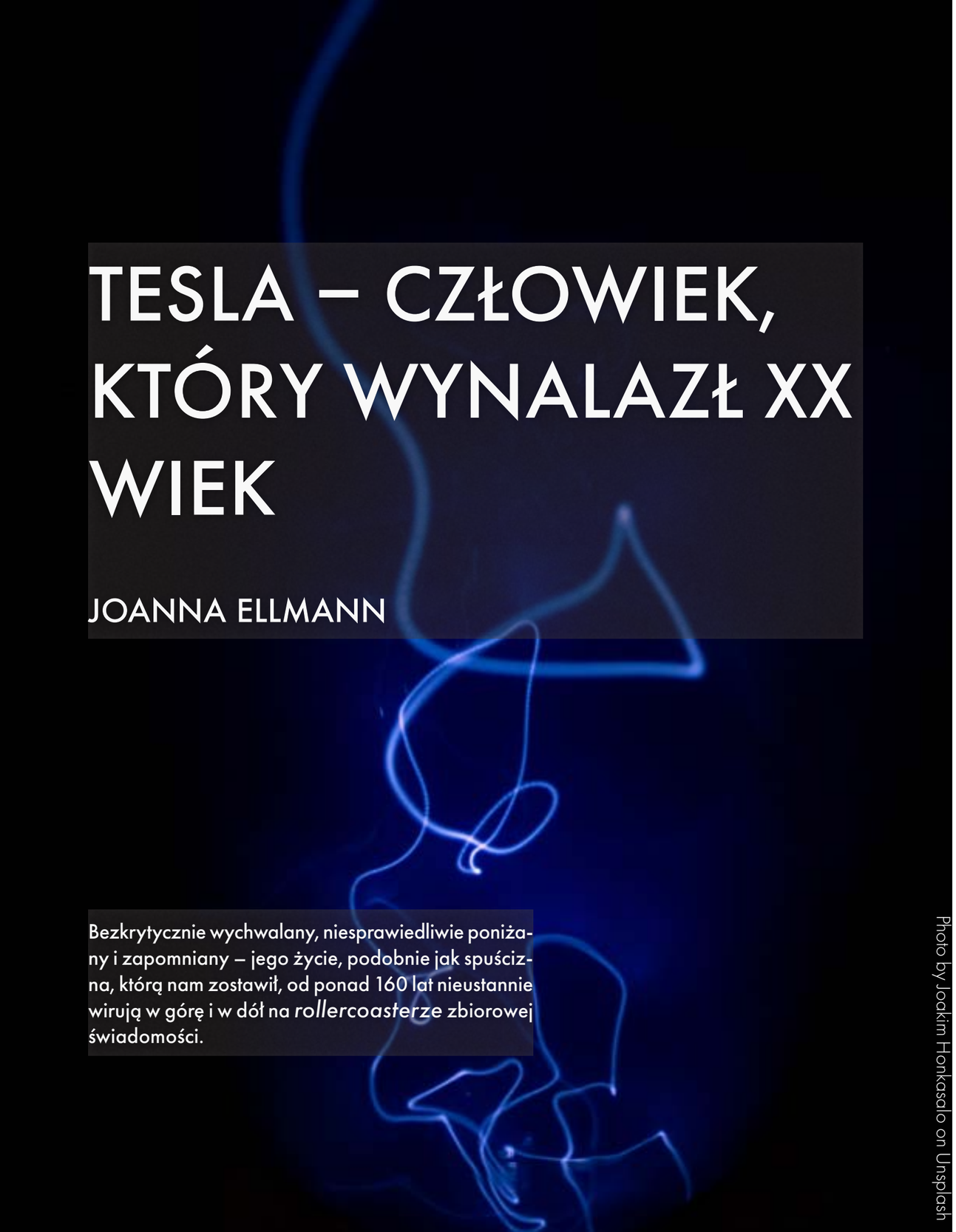

Photo by Joakim Honkasalo on Unsplash

TESLA – CZŁOWIEK, KTÓRY WYNALAZŁ XX WIEK

JOANNA ELLMANN

Bezkrytycznie wychwalany, niesprawiedliwie poniżany i zapomniany – jego życie, podobnie jak spuścizna, którą nam zostawił, od ponad 160 lat nieustannie wirują w górę i w dół na *rollercoasterze* zbiorowej świadomości.

Wyświechtane, pochwalne frazesy, kierowane do zbyt wielu historycznych postaci, poprzez nadmierne rozproszenie, tracą siłę rażenia. Lecz na przestrzeni dziejów znajdziemy kilka osób, które bezapelacyjnie zasługują na miano geniuszy, którzy zmienili losy naszej cywilizacji. Jednym z nich jest serbski inżynier i wynalazca Nikola Tesla. A jednak człowiek, dzięki któremu nasz świat wypełniony jest sztucznym światłem, urządzeniami, bez których nie wyobrażamy sobie ani minuty swojego codziennego dnia – przez całe dekady pozostawał zapomniany. Newton, Edison, Einstein – to nazwiska, które znane są każdemu uczniowi podstawówki. W podręcznikach brakowało tego jednego: Tesla.

Z drugiej strony, od paru lat mamy do czynienia z prawdziwym renesansem serbskiego inżyniera. Niestety, w wielu przypadkach są to miałkie wynurzenia domorosłych naukowców, dramatyczne apele miłośników teorii spiskowych, czy owiane mgłą niedomówień podniosłe wypowiedzi wyznawców mistycyzmu spod znaku Iluminatów. Historia jego życia, odkryć naukowych i osobowość, to gotowy materiał dla wydawniczego bestsellera czy kasowego przeboju kinowego. Siła rażenia i wpływ na zbiorową świadomość o Tesli są w takim przypadku ogromne. W tych przypadkach również spotkamy się z przekłamaniami służącymi zwiększeniu zainteresowania filmem czy książką, lub – na drugim biegunie – nieuzasadnione marginalizowanie jego postaci. Cały Internet huczy od tekstów i filmików pseudo-naukowców. Ciężko w tym bagnie informacyjnym wyłowić „prawdziwą, zdrową rybę", którą skonsumujemy nie dławiąc się fałszywymi wiadomOŚCIami.

Bo w Tesli fascynujące są nie tylko jego przełomowe wynalazki, które służą nam po dziś dzień. Elektryzują zwłaszcza te, które nie doczekały się swojej realizacji, oraz te, których sekrety podobno skrywają tajne akta FBI. Serb był geniuszem, a jak każda ponadprzeciętnie inteligentna jednostka, jego umysł skrywał tajemnicze i dziwne zakamarki – pobudzające wyobraźnię i będące pożywką dla pseudo-naukowego bełkotu. I jak każdy geniusz – czasem się mylił i szybował wysoko ponad racjonalizmem i naukowymi dowodami. Bezkrytycznie wychwalany, niesprawiedliwie poniżany i zapomniany – jego życie, podobnie jak spuścizna, którą nam zostawił, od ponad 160 lat nieustannie wirują w górę i w dół na *rollercoasterze* zbiorowej świadomości.

Trudno nie popuścić wodzy fantazji, kiedy już same narodziny wynalazcy były niecodzienne. Przyszedł on bowiem na świat w małej serbskiej wiosce Smiljan (dzisiaj znajdującej się na terenie Chorwacji), dokładnie o północy w nocy z 9 na 10 lica 1856 roku. Szalała wtedy potężna burza z piorunami i błyskawicami, co w kontekście dalszych losów wynalazcy, stanowi romantyczne dopełnienie jego naukowej drogi. Dodajmy do tego słowa matki, która rzekomo powiedziała,

że jej nowonarodzony syn będzie dzieckiem światła i mamy gotowy obraz mesjasza nauki.

Oboje rodzice Nikoli – ojciec Milutin, który przewodził pobliskiemu serbskiemu kościołowi ortodoksyjnemu, oraz matka Georgina Mandic, pochodząca z jednej z najstarszych serbskich rodzin – dbali o to, aby ich piątka dzieci (Nikola był czwarty z kolei) od najmłodszych lat ćwiczyła pamięć i samodyscyplinę. Dzieci długie godziny spędzały ucząc się całych książek na pamięć. Według Nikoli to po matce odziedziczył inteligencję i duszę wynalazcy: „Moja matka była pierwszego rzędu wynalazcą i wierzę, że dokonałaby wielkich rzeczy, gdyby nie była odsunięta od nowoczesnego życia i jego wielorakich możliwości" (zapewne karierę naukową ułatwiłoby jej także to, gdyby urodziła się mężczyzną – ale o tym Tesla już nie wspomina). Co ciekawe – jeden z największych geniuszy, który chodził po ziemi, podobno wcale nie był najzdolniejszym z dzieci Milutina i Georginy; był nim starszy od Nikoli o 7 lat brat Dane, który zmarł tragicznie w wieku lat 12. „Miałem niezwykle uzdolnionego brata – był jednym z tych rzadkich fenomenów mentalnych, których badania biologiczne nie są w stanie wyjaśnić. (...) Wspomnienie osiągnięć Dane'a sprawia, że w porównaniu z nim, każdy mój wysiłek zdaje się marny. Wszystko to, czego dokonałem, miało na celu sprawienie, aby moi rodzice mniej dotkliwie odczuwali tę stratę. Dorastałem więc z niewielką wiarą w siebie (...)".

Trudno jednak wyobrazić sobie dziecko zdolniejsze od Nikoli. Już w wieku 6 lat skonstruował silnik, który bazował na pracy żywych chrząszczy. Chłopiec był zachwycony wydajnością swego wynalazku, jednak dalsze eksperymenty na tym polu zostały zarzucone, gdy jego kolega zjadł chrząszcze, co w małym wynalazcy wywołało spore obrzydzenie i niechęć do prowadzenia dalszych badań na tym polu. Od najmłodszych lat zafascynowany był także turbinami wodnymi, które sam konstruował. W tym czasie wielką estymą darzył wodospad Niagara: „Wyobrażałem sobie wielką turbinę napędzaną siłą wodospadu. Powiedziałem wujowi, że pojadę do Ameryki i zastosuję tam swój schemat. Trzydzieści lat później zobaczyłem swoje idee zbudowane na Niagarze, zadziwiony nieodgadnionymi tajemnicami ludzkiego umysłu". Całkowicie zatracał się w rozmyślaniach nad stworzeniem ciągłego ruchu, dzięki stałemu ciśnieniu powietrza, a możliwości wykorzystania energii próżni nie dawały mu spać po nocach. W wieku 11 lat skonstruował prototyp silnika indukcyjnego. Od dziecka miewał dolegliwości, które towarzyszyły mu do końca życia: „Jako chłopiec cierpiałem na szczególną przypadłość z powodu pojawiania się obrazów, często połączonych z silnym rozbłyskiem światła, które nękały mnie za pośrednictwem prawdziwych przedmiotów i miały wpływ na moje myślenie i działania. Były to obrazy rzeczy i scen, które widziałem naprawdę, nigdy zaś nie były to wyobrażenia. Kiedy wypowiadane było do mnie słowo – to, co oznaczało, pojawiało się w mojej wizji w formie obrazu i czasem trudno było mi rozróżnić czy to, co widziałem, było rzeczywiste, czy nie. Wprawiało mnie to w niepokój i zakłopotanie. Nikt ze studentów psychologii i fizjologii, z którymi się konsultowałem, nie był w stanie w satysfakcjonujący sposób wyjaśnić tych zjawisk. Wydają się wyjątkowe, chociaż miałem ku nim predyspozycje, gdyż mój brat miał podobne doświadczenia". Być może

Człowiek, dzięki któremu nasz świat wypełniony jest sztucznym światłem, urządzeniami, bez których nie wyobrażamy sobie ani minuty swojego codziennego dnia – przez całe dekady pozostawał zapomniany

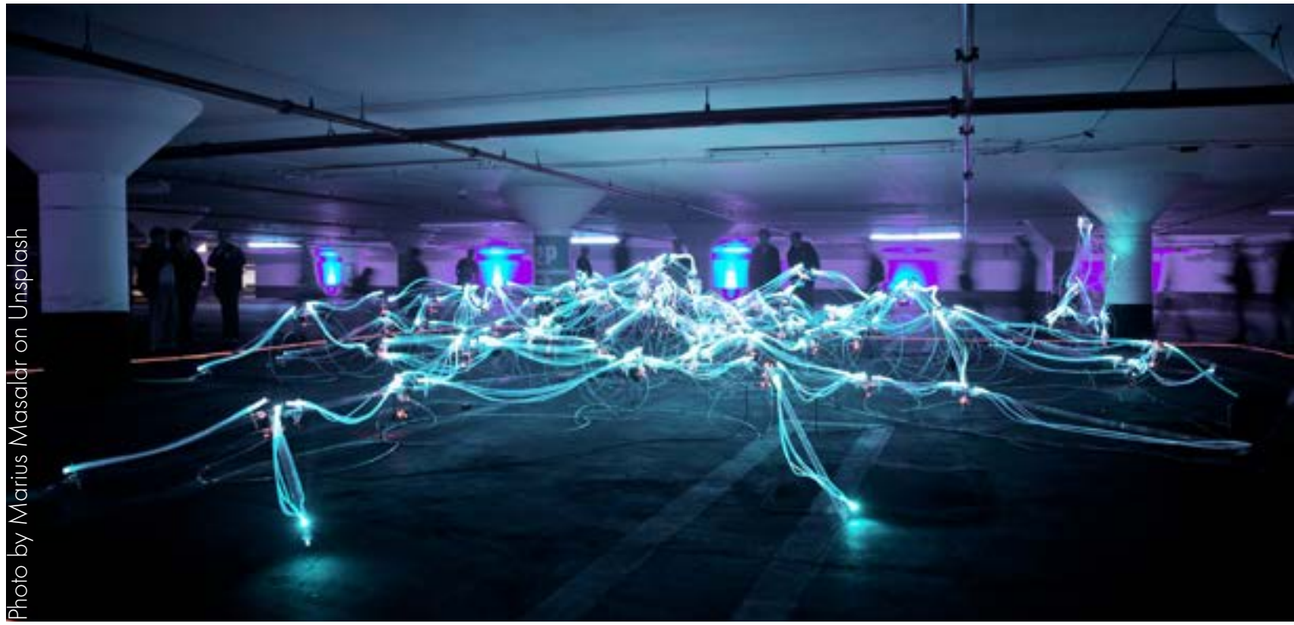

Photo by Marius Masalar on Unsplash

dzisiaj lekarze zdiagnozowaliby te objawy jako chorobę zwaną synestezją (mózg odbiera rzeczywistość kilkoma zmysłami jednocześnie). Co tłumaczyłoby poniekąd jego fenomenalną, fotograficzną pamięć.

Pomimo tak niesamowitych osiągnięć, rodzice Nikoli – zwłaszcza ojciec, nadal chcieli, żeby ich syn został duchownym. Nie wiadomo, czy życie Nikoli nie skończyłoby się w zakonie, gdyby w 1873 roku nie zachorował na cholerę. Przebieg był tak ciężki, że lekarze i rodzina stracili nadzieję na jego wyzdrowienie. Leżąc na łożu śmierci Nikola wyszeptał do swojego ojca, że być może wyzdrowieje, jeśli ten pozwoli mu zostać inżynierem. Oba życzenia Tesli się spełniły.

Wspominając swoje studia na politechnice w Gratz Tesla pisał: „(...) rozpoczynałem pracę o trzeciej nad ranem, a kończyłem o jedenastej po zmroku, bez wolnych niedziel i wakacji." Dzięki swojej wyróżniającej się inteligencji i pracowitości, Tesla zaskarbił sobie uznanie profesorów. Ale nawet Ci, którzy go chwalili, nie w pełni doceniali jego pomysły. Gdy po zaprezentowaniu studentom maszyny Gramme'a Tesla zaproponował wprowadzenie w niej usprawnień – m.in. przez zastosowanie prądu zmiennego, profesor Poeschl, wykładowca Tesli, miał powiedzieć: „Pan Tesla jest w stanie dokonać wielkich rzeczy, ale nigdy nie będzie w stanie dokonać akurat tego. (...) nieosiągalna idea".

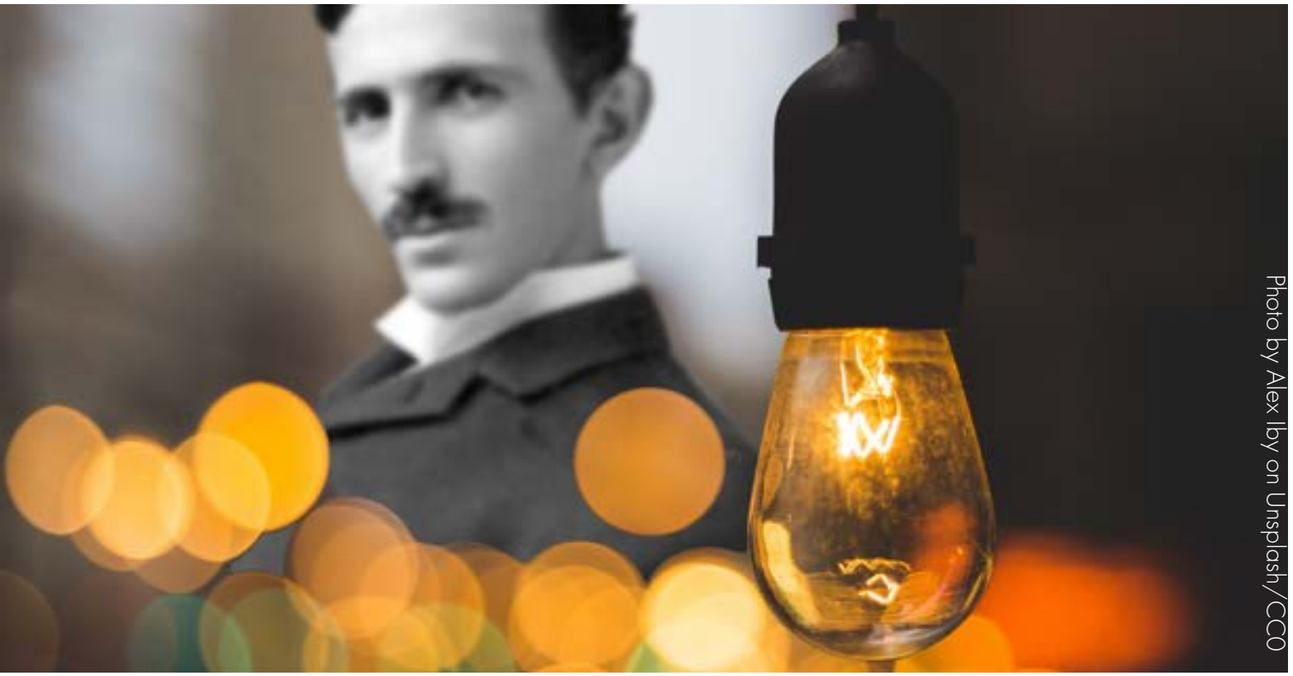

Photo by Alex Iby on Unsplash/CC0

Ta nieosiągalna idea stała się kilka lat później namacalna i na zawsze zmieniła obraz świata. A stało się to w 1882 roku, kiedy to zaledwie 26-letni Tesla spacerował ze swoim przyjacielem. Nagle w jego umyśle pojawił się znany już rozbłysk światła, który przyniósł upragniony koniec rozważań nad budową silnika zasilanego prądem przemiennym. Nikola zaczął rysować patykiem na piasku schematy urządzenia, które sześć lat później przedstawione zostało Amerykańskiemu Instytutowi Energii Elektrycznej. To zdarzenie pokazuje, w jaki sposób Tesla „pracował" nad swoimi wynalazkami: „Nie potrzebowałem modeli, rysunków, ani eksperymentów. Mogłem to wszystko szkicować w moim umyśle. (...). Nie rzucam się w wir pracy. Kiedy mam jakiś pomysł, zaczynam go wizualizować. Zmieniam jego konstrukcję, wprowadzam poprawki i operuję nim w mojej wyobraźni. Jest dla mnie absolutnie nieistotne to, czy włączam w myślach moją turbinę, czy testuję ją u siebie w warsztacie. (...). Nie ma żadnej różnicy, rezultaty są takie same. (...) Kiedy dojdę już do momentu wdrożenia do wynalazku wszystkich możliwych ulepszeń i, myśląc o nim, nie dostrzegam już nigdzie błędów, materializuję formę ostatecznego wytworu mojego mózgu. Niezmiennie moje urządzenia działają zgodnie z zamysłem, a eksperymenty wychodzą dokładnie tak, jak je zaplanowałem. W ciągu dwudziestu lat nie było ani jednego wyjątku. Dlaczego miałoby być inaczej?"

W tym samym czasie zaproponowano mu pracę w Paryżu, gdzie od swojego przełożonego dostawał do rozwiązania najtrudniejsze zadania, przypadki, na których polegli inni inżynierowie. Jego zwierzchnikiem był wówczas Charles Batchellor – bliski przyjaciel Thomasa Edisona. Pomimo propozycji założenia spółki, którą otrzymał od jednego z pracujących z nim Amerykanów, Tesla nie zdecydował się na ten krok – nigdy nie miał smykałki do interesów. Zamiast odcinać kupony od swojego geniuszu, jeździł po Francji i Niemczech naprawiając usterki w elektrowniach. Wtedy też zdarzyła się wielka gafa podczas

Leżąc na łożu śmierci Nikola wyszeptał do swojego ojca, że być może wyzdrowieje, jeśli ten pozwoli mu zostać inżynierem. Oba życzenia Tesli się spełniły

otwarcia nowej stacji kolejowej w Strasburgu. Wskutek zamontowania wadliwych przewodów doszło do zwarcia. Pech chciał, że w uroczystościach brał udział sam Wilhelm I, który we własnej królewskiej osobie był świadkiem tej katastrofy. Francuski oddział firmy Edisona stanął przed widmem porażki. Komu polecono naprawienie tej - być może decydującej o przyszłości firmy – katastrofy? Oczywiście Tesli, który natychmiast przystąpił do pracy naprawiając wszelkie usterki i udoskonalając przy okazji parę urządzeń. Za te sukcesy obiecano mu sowitą nagrodę. Niestety – nigdy jej nie wypłacono. Rozgoryczony i zniechęcony przyjął propozycję przyjaciela Edisona, aby wyjechać do Ameryki i pracować dla uwielbianego wynalazcy

To nie Edison okazał się współczesnym Prometeuszem – i nie mógł tego znieść

Już początek wyprawy nie wróżył dobrze – młody emigrant został okradziony z pieniędzy i biletów na statek, którym miał popłynąć na nieznany sobie kontynent. Uratowała go jego świetna pamięć – na statek SS City of Richmont wpuszczono go tylko dlatego, że zapamiętał swój numer biletu. Batchellor, który namówił Teslę do podróży do Ameryki, tak w liście zarekomendował młodego wynalazcę swojemu przyjacielowi Edisonowi: „Znam dwóch wielkich ludzi i pan jest jednym z nich. Drugim zaś ten młody człowiek, który stoi przed panem".

Sam Tesla wspomina: „Spotkanie z Edisonem było wydarzeniem, które zapadło mi w pamięć. Byłem pod wrażeniem tego człowieka, który z początku bez wsparcia i bez przygotowania naukowego, tak wiele osiągnął. (...) w ciągu kilku tygodni zaskarbiłem sobie zaufanie Edisona i tak już zostało". Nic dziwnego, skoro przez cały rok - bez wyjątku – jako młody asystent zaczynał pracę o dziesiątej trzydzieści rano i kończył ją o piątej rano następnego dnia. „Miałem wielu ciężko pracujących asystentów, ale ty jesteś wybitny" – miał powiedzieć Edison. Był on zaledwie o 9 lat starszy od Tesli, a to co ich łączy – to błyskotliwy umysł, który dostrzec można było już od dziecka. Edison w wieku 10 lat był już lokalnym ekspertem od telegrafu, a w wieku lat16 w tej dziedzinie znany był w całych Stanach Zjednoczonych. Miał też niebywałą smykałkę do interesów – czyli coś, czego Tesli zawsze brakowało. Zwykł mawiać: „W przemyśle i biznesie wszyscy kradną. Sam dużo nakradłem, ale ja wiem jak to robić. Inni nie umieją kraść..." Czego dowodem – potwierdzonym później przy współpracy z Teslą, był m.in. fakt, że pracując w firmie „Western Union" sprzedawał swoje wynalazki jej konkurencji. Z takim człowiekiem przyszło pracować i mierzyć się młodemu imigrantowi. Oprócz fundamentalnych różnic

Photo by Jeremy Thomas on Unsplash

w osobowości obu wynalazców, najbardziej poróżniła ich niechęć Edisona do prądu przemiennego forsowanego uparcie przez Teslę. Dlaczego Edison tak bardzo nienawidził AC? Ponieważ uważał go za niebezpieczny, natomiast DC miał według niego fundamentalne znaczenie dla przemysłu i sprzedaży wymyślonej przez niego w 1873 roku żarówki. Co ciekawe, Edison powielał model, przez który sam w przeszłości przechodził. Lata temu musiał stanąć do walki z monopolem gazowym, który utrudniał mu rozprzestrzenianie jego wynalazków. Ale Edison był mistrzem propagandy! Wykorzystywał słabe punkty konkurencji, a ubarwione i dramatycznie przedstawione historie opowiadające o słabości przeciwników – umiejętnie sprzedawał opinii publicznej. To, co kiedyś sprawdziło się w walce z przemysłem gazowym, niedługo będzie wykorzystane także walce z Teslą.

Prąd przemienny – w odróżnieniu od stałego, zmienia swoje natężenie i kierunek przepływu w regularnych odstępach czasu. W 2 połowie XIX wieku elektrownie prądu stałego mogły go przesyłać zaledwie na odległość 2 km. To bardzo nieekonomiczne rozwiązanie, które wymagałoby budowy sieci elektrowni, aby oświetlić jedno miasto. Tymczasem Edison był tak pewny swojego silnika na prąd stały – który nazywał „doskonałym', że założył się z Teslą o wypłatę 50000 dolarów, jeśli ten ulepszy jego maszyny działające na prąd stały. Wkrótce Tesla zaprezentował swojemu pracodawcy nie jedną, a 24 ulepszone konstrukcje. Gdy Tesla udał się do niego po obiecaną nagrodę jego – tak niegdyś podziwiany przełożony – zaśmiał się i stwierdził, że emigrant nie zna się na amerykańskim poczuci humoru, ale w zamian może zaoferować mu podwyżkę z 18 do 26 dolarów tygodniowo.

Oszukany rzucił pracę u Edisona. Następne 2 lata były dla niego bardzo ciężkie – imał się każdej pracy: był tragarzem, kopał rowy. W końcu – za namową znajomych – założył firmę zajmującą się oświetleniem elektrycznym. Miał nadzieję, że wspólnicy zainteresują się jego pracami nad silnikiem zasilanym prądem przemiennym. Nic z tych rzeczy. Chcąc nie chcąc Tesla zajął się tym, na czym zależało jego wspólnikom – lampami łukowymi. Wkrótce oświetliły one nie tylko fabryki, ale także ulice miast, a co za tym idzie, sytuacja finansowa wynalazcy znacznie się polepszyła. Wreszcie mógł on w spokoju przenieść maszyny, które od lat hibernował w swojej wyobraźni, do rzeczywistego świata. Właśnie wtedy – w 1888 roku – Serb spotkał człowieka, który na dobre odmienił jego los: George'a Westinghouse'a, właściciela Westingouse Lamp Company. Uwierzył on w pomysł Tesli, który inni od lat odrzucali – silnik na prąd zmienny. Jego produkcja ruszyła na dużą skalę. Umowa między inwestorem a wynalazcą obrosła legendą, faktem pozostaje, że Tesla miał otrzymać 2,5 dolara za każdego konia mechanicznego mocy wyprodukowanego przez stworzone przez siebie generatory. Edison czuł, jak grunt zaczyna mu się palić pod stopami. W 1889 roku pozwał swojego byłego pracownika o naruszenie patentu – oczywiście proces przegrał.

Rok 1893 to kolejny cios dla Edisona – system Tesli doczekał się międzynarodowego debiutu – tysiące żarówek zasilanych prądem przemiennym rozświetliły Wystawę Światową w Chicago. Aby w pełni zrozumieć o jaką stawkę – również finansową, toczyła się wojna, należy uzmysłowić sobie, że świat w tamtych czasach po zmroku spowity był ciemnościami rozświetlanymi słabym światłem świec i lamp naftowych. Tymczasem w jednym miejscu rozbłysły setki tysięcy żarówek – takiego widowiska nikt na świecie jeszcze nie widział. Szacuje się, że przez 6 miesięcy Wystawę odwiedziło 27 mln ludzi (co stanowiło połowę ówczesnej populacji Stanów Zjednoczonych). To nie Edison okazał się współczesnym Prometeuszem – i nie mógł tego znieść. Już wcześniej rzucił wszelkie siły, aby rozprzestrzeniać propagandę skierowaną przeciw Tesli i jego prądowi przemiennemu. Edison był mistrzem czarnego PR-u. Podobnie jak kiedyś, walcząc z gazowym monopolem, i tym razem Edison wydawał broszury informujące o szkodliwości prądu przemiennego. Gdyby tylko na takiej formie krytyki pozostał.... Szalał z wściekłości i nie było dla niego granic w tej „wojnie prądów". Posunął się do tego, że na oczach publiczności śmiertelnie raził prądem przemiennym zwierzęta: psy, konie, a nawet słonia. Podsunął także pomysł, aby egzekucje na krześle elektrycznym - którego zresztą był wynalazcą - przeprowadzać właśnie przy użyciu prądu Tesli. Następnie zadawał retoryczne pytanie: „Czy chcecie, żeby wasze żony gotowały na tym samym prądzie, którego używa się do uśmiercania morderców?" Szeroko zakrojona kampania nie przyniosła jednak Edisonowi upragnionego zwycięstwa. Zalety prądu przemiennego były tak oczywiste, że wkrótce Westinghouse i Tesla zaczęli wdrażać tę technologię w całych Stanach Zjednoczonych.

„Gwizd lokomotywy oddalonej o 25 lub 30 mil sprawiał, że fotel bądź krzesło, na którym siedziałem, wibrował tak mocno, że ból stawał się nie do zniesienia"

Był to najlepszy okres w życiu Tesli, który został ulubieńcem amerykańskich salonów i brylował w towarzystwie. Do grona swoich znajomych zaliczał Marka Twaina, Ignacego Paderewskiego czy Sarah Bernhardt. Jego towarzyskie zaangażowanie i popularność stoją nieco w sprzeczności z jego dziwnymi upodobaniami i fobiami: „Moje zmysły wzroku i słuchu były zawsze ponadprzeciętne. Z dużych odległości wyraźnie widziałem obiekty, których inni widzieli jedynie zarys. (...) słyszałem tykanie zegara, od którego oddzielały mnie trzy pokoje. Słyszałem tępy stukot, gdy w pokoju na stole lądowała mucha. Powóz jadący w odległości kilku mil wstrząsał moim ciałem. Gwizd lokomotywy oddalonej o 25 lub 30 mil sprawiał, że fotel bądź krzesło, na którym siedziałem, wibrował tak mocno, że ból stawał się nie do zniesienia. Ziemia pod moimi stopami nieustannie drżała. Musiałem podłożyć pod łóżkiem gumowe podkładki, aby w ogóle móc zasnąć. Dobiegające z bliska i z daleka grzmiące odgłosy często dawały efekt wypowiadanych słów. (...) Musiałem skoncentrować całą siłę woli, żeby przejść przez most, doświadczając miażdżącego ciśnienia w czaszce. W ciemności miałem zmysł podobny do echolokacji nietoperzy i lokalizowałem obiekty w odległości do dwunastu stóp za pomocą osobliwego doznania umiejscowionego w czole. Mój puls skakał do 260 uderzeń na minutę, a każda cząstka mojego ciała trzęsła się w drgawkach i dreszczach(...). Już zawsze będę żałował, że nie znalazłem się w tym czasie pod opieką fizjologów i psychologów".

Pomimo dużego powodzenia u kobiet, żadna nie miała szans w starciu z jego fobiami: „Odczuwałem wręcz brutalną niechęć do kolczyków u kobiet (...)Nie dotknąłbym włosów innych ludzi, chyba że ewentualnie przez celownik rewolweru." Również restauratorzy nie mieli z nim łatwego życia: „Zliczałem swoje kroki i obliczałem objętość talerzy do zupy, filiżanek kawy oraz porcji jedzenia – inaczej mój posiłek nie sprawiał mi radości. Wszystkie powtarzane przeze mnie czynności i działania musiały być podzielne przez trzy i jeżeli to nie wyszło, byłem zmuszony powtarzać czynność aż do skutku, nawet jeśli trwało to godzinami".

Photo by Alex Dukhanov on Unsplash

Tymczasem urządzenia na prąd przemienny weszły do powszechnego użytku. Prawnicy Westinghouse'a przypomnieli mu wtedy o umowie, w której zobowiązał się do wypłacenia tantiem w wysokości 2,5 dolara za każdego konia mechanicznego mocy wyprodukowanej przez generatory Tesli. Sukces przerósł kalkulacje inwestora i wypłata takiego honorarium doprowadziłaby do bankructwa jego firmy. Tesla nie chcąc dopuścić do upadku swego dobroczyńcy.....podarł intratną umowę, która uczyniłaby go najbogatszym człowiekiem na Ziemi.

Tesla i Westinghouse mieli już w zanadrzu kolejny projekt, który obu mężczyznom miał przynieść krocie: wygrali przetarg na budowę elektrowni na wodospadzie Niagara. Dziecięce marzenie Tesli miało się spełnić. Nawet dzisiaj, po niemal 125 latach, można posłuchać wypowiedzi pracujących tam inżynierów, którzy z zapałem opowiadają o geniuszu Tesli i cudzie inżynierii, jakie stworzył w tym miejscu.

Równocześnie wynalazca oddał się pracy nad kolejną ideą, która od lat kłębiła się w jego umyśle: bezprzewodowej transmisji energii. Serb skonstruował niezwykłe urządzenie: transformator Tesli. Umożliwiał on zwiększenie napięcia do wysokiej częstotliwości. Dzięki temu wynalazkowi stworzył m.in. pierwsze neony i oświetlenie fluorescencyjne, a także wykonał zdjęcia rentgenowskie. Jednak największe wrażenie wywołał, w 1890 roku, gdy trzymana w jego ręku lampa próżniowa zaczęła emitować światło bez użycia żadnych przewodów.

Tesla zauważył, że jego transformator emituje także sygnał radiowy. To urządzenie stało się w przyszłości przyczyną upadku jego wynalazcy. Do dzisiaj większość uważa, że radio zawdzięczamy Marconiemu. Prawda jest taka, że włoski wynalazca bazował na patentach Tesli. To Serb już w 1897 roku złożył w biurze patentowym dokumenty, będące podstawą technologii radiowych. Rok później zaprezentował swój najnowszy wynalazek: zdalnie sterowaną falami radiowymi łódkę. Pokaz zrobił tak ogromne wrażenie, że Tesla musiał odsunąć pokrywę łódki, żeby udowodnić, że nie schował się tam sterujący maszyną człowiek.

W 1899 roku Tesla przeniósł się do Colorado Springs by kontynuować swoje niezwykłe badania. W tamtym rejonie dni burzowe zdarzały się częściej niż te, bez wyładowań atmosferycznych. Tesla zbudował transformator, który kończył się wysoką na 44 metry wieżą z piorunochronem, dzięki której chciał sprawdzić, czy możliwa jest akumulacja energii wyładowań atmosferycznych, a następnie jej bezprzewodowy przesył na duże odległości – przewodnikiem miała być Ziemia. Cała konstrukcja była w rzeczywistości maszyną do tworzenia piorunów. Już pierwsze eksperymenty były niezwykle obiecujące. W odległości 40 km od wieży rozbłysło kilkaset żarówek wbitych w ziemię. Przy okazji jednak spalił się generator w pobliskiej elektrowni, która nie była gotowa na takie eksperymenty. Podczas pracy w Colorado Springs Tesla odnotował dziwne sygnały odbierane przez jego aparaturę. Był pewien, że nadają je z Marsa istoty pozaziemskie. Prawdopodobnie były to sygnały ze Słońca i innych gwiazd, które dzisiaj słyszymy przy pomocy radioteleskopów.

W 1900 roku przyjechał do Nowego Jorku. Być może uznał, że jego praca nad piorunami zakończyła się sukcesem. W tym czasie Marconi złożył w Nowym Jorku patent dla systemu telegrafii bezprzewodowej. Został on odrzucony, gdyż był zbyt podobny do wcześniejszego pomysłu Tesli. Tesla roztaczał futurystyczne wizje o czerpani energii ze Słońca za pomocą anteny. Wiązałoby się to według niego m.in. z możliwością kontrolowania pogody za pomocą energii elektrycznej. Nie rezygnował oczywiście ze swojego pomysłu bezprzewodowej komunikacji, która – jak wierzył – da ludziom wieczny pokój. Pracami Tesli zainteresował się jeden z najpotężniejszych ludzi na świecie, finansista P.J. Morgan. Chciał on, aby wynalazca pracował dla niego nad łącznością radiową. Ten zgodził się tylko dlatego, że pieniądze z prac dla Morgana mogły pomóc mu w badaniach nad bezprzewodową transmisją energii elektrycznej. Tak rozpoczął się projekt Wardenclyffe. Na

Long Island powstała elektrownia bezprzewodowa – była to stalowa wieża wysoka na 57 metrów, wpuszczona głęboko w ziemię. Na jej szczycie umieszczono ogromną miedzianą półkulę, która działała jak wielki nadajnik. Tesla jednak zamiast doskonalić możliwość przesyłania sygnałów radiowych, skupił się na przesyle energii, dlatego Morgan przestał finansować jego badania. Tym bardziej, że 8 grudnia 1901 roku Marconiemu udało się przesłać sygnał radiowy przez Atlantyk. Tesla – mimo, że radio elektryzowało opinię publiczną i inwestorów – uważał je za przeżytek, a osiągnięcie Włocha skwitował stwierdzeniem: „Niech kontynuuje dalej. Korzysta z 17 moich patentów".

Jednak odejście Morgana, który ostatecznie wsparł finansowo Marconiego i upadek projektu Wardenclyffe – było początkiem końca Tesli jako uznanego i szanowanego naukowca. Ostatecznym ciosem była decyzja Urzędu Patentowego USA, który w 1904 roku unieważnił swoje poprzednie rozporządzenie, przyznając patent na radio Marconiemu. Równia pochyła osiągnęła swoją kulminację, gdy rok później wygasły patenty Tesli dotyczące technologii prądu przemiennego. Wynalazki, które przyczyniły się do miliardowych zysków korporacji, nie przynosiły ich twórcy ani centa zarobku. 1909 rok przyniósł kolejne rozczarowanie – Marconi otrzymał Nagrodę Nobla.

Pozbawiony środków na badania, naukowiec coraz bardziej izolował się od świata i ludzi. Jego jedynymi towarzyszami były gołębie, na których punkcie miał prawdziwą obsesję. Nie tylko je karmił, ale chore znosił do swojego hotelowego pokoju, aby tam się nimi opiekować. Jego wynalazki, tak elektryzujące niegdyś innych naukowców, inwestorów i opinię publiczną, teraz były eksplorowane jedynie w raczkującej kinematografii science-fiction. Tymczasem na naukowym firmamencie wzeszła nowa gwiazda: Albert Einstein. Autorytet Tesli podkopywał on sam nieustannie atakując i podważając teorię względności oraz zwracając się coraz bardziej w stronę mistycyzmu i ezoteryki. Jednak rok 1931 – w którym zmarł jego adwersarz Edison, był także rokiem, kiedy Tesla powrócił „z zaświatów" na towarzyskie i naukowe salony. Wykorzystując powracające zainteresowanie, Tesla wrócił do snucia swoich wizji o wykorzystaniu nowego rodzaju energii (sam był wielkim przeciwnikiem energii atomowej – uważał, ze może ona przyczynić się do wojen i zagłady ludzkości). Wzrastająca siła i popularność nazistów w Niemczech sprowokowały go do ogłoszenia odkrycia nowego źródła energii: teleforce, błyskawic generowanych przez człowieka. Pierwsze eksperymenty przeprowadzał już w Colorado Springs na początku XX wieku. Teraz zelektryzował swoim pomysłem cały świat. Wynalazca próbował sprzedać swój pomysł rządom wszystkich krajów alianckich. Spotkanie w Białym Domu z przedstawicielami rządu Stanów Zjednoczonych zostało zaplanowane na 8 stycznia 1943 roku. Do spotkania nigdy nie doszło, Tesla zmarł dzień wcześniej w swoim pokoju w hotelu New Yorker. Jego śmierć tylko wzmocniła zainteresowanie jego wynalazkami. Bano się, że rzeczywiście mógł stworzyć „broń przyszłości", a jego notatki i plany wpadną w niepowołane ręce. Takie podejrzenia nie były nieuzasadnione. W tym czasie w USA przebywał siostrzeniec Tesli, Sava Kosanovic, który domagał się zwrotu dokumentów wuja i przekazania ich do Jugosławii. Sam Kosanovic miał niejasne powiązania z komunistami. To on po śmierci wuja kazał ślusarzowi otworzyć sejf znajdując się w pokoju Tesli. Do dzisiaj nie wiemy, co się w nim znajdowało. Dokumenty, które później agenci FBI znaleźli w pokoju Tesli, zostały częściowo utajnione, a spekulacje na temat realności broni wiązkowej i jego innych projektów toczą się w środowisku naukowym do dzisiaj.

Wynalazki, które przyczyniły się do miliardowych zysków korporacji, nie przynosiły ich twórcy ani centa zarobku

Tesli przyznano około 300 patentów, był twórcą 125 wynalazków. Żaden naukowiec nie zmienił życia zwykłych ludzi tak, jak on. Dzisiaj, w XXI wieku nadal korzystamy z wiedzy, którą przekazał nam człowiek urodzony w małej serbskiej wiosce w połowie XIX wieku. Pomyślcie o tym, kiedy następnym razem korzystać będziecie ze swojego smartfona, kiedy zapalicie światło, odpalicie silnik w swoim samochodzie, otworzycie lodówkę, odbierzecie zdjęcie rentgenowskie, włączycie radio, będziecie bawić się z dzieckiem zdalnie sterowaną zabawką lub sami kierować będziecie dronem; kiedy usłyszycie o sztucznych satelitach, łodziach podwodnych, laserach; a nawet wtedy, gdy z zapartym tchem śledzić będziecie Gwiezdne Wojny i walki na świetlne miecze... ◉

JOANNA ELLMANN

Absolwentka Historii Sztuki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Public Relations na Uniwersytecie Warszawskim oraz Gdańskiej Akademii Debaty. Prezeska Fundacji Aureus Link zajmującej się wspieraniem przedsiębiorczości. Radna Osiedla Św. Łazarz w Poznaniu. Była członkiem i szefem wielu sztabów wyborczych. Jej wielką pasją jest mechanika kwantowa, sztuka i kultura amarneńska, twórczość Witkacego, Oscara Wilde'a, Davida Lyncha, aktualne wydarzenia polityczno-społeczne.

„JOKER" CZYLI INCEL I JEGO KLAKIERZY

MACIEK ZAJĄC

„Joker" nie tylko uparcie odmawia uczłowieczenia większości ofiar, ale też z wielką dokładnością dba, aby antybohater nie przekroczył najważniejszych współczesnych tabu.

Photo by Daniel Lincoln on Unsplash

Jak wyglądałby taksówkarz Martina Scorsese, gdyby nakręcono go w naszych czasach? „Joker" Todda Philipsa to doskonale nakręcona i zagrana dwugodzinna odpowiedź na to pytanie. Nie ma wątpliwości, że „Joker" osiągnie i na długo zachowa kultowy status, że jego kunszt filmowy będzie przedmiotem naśladownictwa, a poszczególne sceny staną się skarbnicą memów i odniesień. Czy film jest jednak arcydziełem krytyki społecznej w konwencji popkultury, czy jedynie skrajnie nieodpowiedzialną celebracją nihilistycznej przemocy? Jest to w końcu historia odrzuconego, samotnego mężczyzny, który strzelając do otaczających go ludzi, zyskuje rozgłos i poklask. Tego typu protagonista w kraju szkolnych strzelanin może być albo zaproszeniem widza do bolesnej analizy tragicznego fenomenu, albo oznaką, że twórcy chcą jedynie zarobić na rzuceniu znieczulonej publiczności *villain porn*, nie przejmując się faktem, że dostarczają autorom kolejnych masakr wizualnie oszałamiającego manifestu. Oglądając „Jokera", trudno się zorientować, z którą opcją mamy do czynienia. Oglądany z tej perspektywy film staje się fascynującą enigmą i zmienia się w podróż w mroczną psychikę współczesnej popkultury, nie mniej pogmatwaną niż ta należąca do tytułowego antybohatera.

Zanim odpowie się na pytanie, co chce osiągnąć i co obnaża „Joker", trzeba stwierdzić jedno – twórcy są ekspertami w swoim fachu, doskonale wiedzą, co robią, i widać to od pierwszych sekund. Plastycznie i dźwiękowo film jest nienaganny; depresyjna beznadzieja Gotham wprost wycieka z ekranu. Joaquin Phoenix żyje swoją rolę fizycznie i psychicznie. Światło, muzyka, scenografia wtłaczają widza w ten obraz, tempo jest bezbłędne i nie pozwala wyjść z niego ani na chwilę. Mamy też – jak rzadko kiedy w dzisiejszych popularnych produkcjach – do czynienia z fabułą gnaną przez logiczne ciągi wydarzeń, wybory bohaterów i porządny, przekonujący dialog, nie przez rozpaczliwą konieczność sklejenia ze sobą ulubionych efektów specjalnych, walk i ujęć tworzących wcześniej trailer.

Nie jest to też łatwy film – nie ogląda się go przyjemnie, a ci, którzy przyszli uzupełnić historię o Batmanie, muszą cierpliwie czekać na pojawienie się znajomych miejsc czy postaci. Żaden z elementów popkulturowego koktajlu – seks i romans, *comic relief*, spektakularna przemoc bez większych konsekwencji – nie pojawia się na ekranie. We wszystkich tych aspektach „Joker" jest wręcz modelowy i chciałoby się doczekać transformacji całości współczesnego pop na jego obraz i podobieństwo. Zniesmaczeni fani „Gry o Tron" czy „Gwiezdnych Wojen" oddaliby swój prawy ekran za Todda Philipsa u steru ich uniwersów.

Niepodważalność wizualnej maestrii i scenopisarskiej kompetencji twórców odziera ich jednak z potencjalnego alibi. „Joker" jest dokładnie tym, czym chcieli, aby był. Elementy doskonałe są efektem świadomego skupienia na nich wysiłków, elementy

pozbawione polotu czy jakości – efektem zaniedbania wskazującego na rzeczywiste priorytety. Zrozumienie tego faktu jest kluczem do odgadnięcia, czym naprawdę jest „Joker".

Przez pierwszą połowę dwugodzinnej projekcji film kreuje się na opowieść o człowieku zamkniętym w pułapce choroby, ubóstwa i wywołanej nimi izolacji społecznej. Oglądamy dysfunkcyjny świat zaśmieconych ulic, dorywczych zleceń, z których trzeba wyżyć, sporadycznego i objawowego leczenia psychicznych zaburzeń w osiedlowej klinice, wreszcie oziębłości i alienacji miasta, w którym każdy ucieka przed każdym, bo nieznajomy oznacza kłopoty. Artur Fleck – tak ma na imię przyszły Joker – nie ma w tym świecie perspektywy na jakąkolwiek znośną przyszłość. Życie rozdało mu dość paskudne karty. W przeciwieństwie do protagonisty „Taksówkarza", Artur nie szuka guza. Po prostu stara się przetrwać, doświadczyć ludzkiej akceptacji, znaleźć bliskość. W tej części „Joker" wydaje się być podobny do innej popkulturowej opowieści o społecznym wykluczeniu, do „Rambo. Pierwsza krew". W obu obserwujemy Amerykę nie mogącą zgodzić się, by wyrzutek stał się jej częścią.

Jest jednak zasadnicza różnica. W swojej historii Rambo naprawdę nie ma wyboru, musi bronić się przed oprawcami, którzy nie przestają dybać na jego wolność i zagrażają jego fizycznemu bezpieczeństwu. Rambo obraca się bezpośrednio przeciwko nim w akcie samoobrony. Historia Artura Flecka wydaje się zmierzać w podobnym kierunku. Najpierw zostaje on brutalnie pobity dla zabawy przez bandę chuliganów. Kiedy pod wpływem tego doświadczenia zaczyna nosić ze sobą broń w celach samoobrony, fakt ten doprowadza do zwolnienia go z pracy. Dowiaduje się też, że ze względu na cięcia budżetowe nie będzie miał już dostępu do opieki psychiatrycznej w lokalnej klinice, a kiedy załamany wraca do domu, zostaje napadnięty przez trójkę pijanych yuppies, których przyciąga jego nerwicowy śmiech. I tutaj kończą się podobieństwa z Johnem Rambo, a zaczyna albo moralne i narracyjne niedbalstwo, albo niezwykle subtelna maestria twórców filmu.

„Joker" wydaje się być podobny do innej popkulturowej opowieści o społecznym wykluczeniu, do „Rambo. Pierwsza krew". W obu obserwujemy Amerykę nie mogącą zgodzić się, by wyrzutek stał się jej częścią

Artur zabija dwóch napastników w samoobronie, zmuszając trzeciego do ucieczki. W tym momencie jest jeszcze osobą moralnie niewinną. Nie tylko jednak strzela uciekającemu korposzczurowi w plecy, ale ściga go kilka minut, aby bezlitośnie dobić błagającego o życie. Takie rozwiązanie fabularne wydaje się być ogromnym błędem w sztuce. Ten sam stan – wyjętego spod prawa obiektu policyjnego śledztwa – mógł protagonista osiągnąć nie przekraczając granicy między samoobroną a morderstwem. Zdarzenie mogli zobaczyć policjanci, otwierając do niego niecelny ogień bez rozeznania w sytuacji i zmuszając go do ucieczki. To samo mógł osiągnąć krzyk równie nieświadomych genezy zdarzenia świadków. Artur mógł też zostać przez scenarzystów skonfrontowany z policją i zrozumieć, ze instytucja ta faworyzuje ludzi, którzy go napadli, ze względu na ich wyższy status. Każdy z tych sposobów rozegrania wydarzenia pozwoliłbym widzom współczuć i kibicować Arturowi, nie kibicując równocześnie mordercy, pozostawiając mu status ofiary i czyniąc go postacią tragiczną, zepchniętą na drogę zbrodni przez siły niezależne od niego. Jeśli twórcy nie sięgają po nie, to znaczy, że status moralny Artura jest im obojętny.

Jest i druga opcja. Wydarzenia obserwujemy z perspektywy Jokera, narratora niekoniecznie godnego zaufania. Co jeśli bezsensowna i przerysowana przemoc, której pada ofiarą, jest jedynie urojonym post-factum uzasadnieniem bandyckiego odreagowywania własnych niepowodzeń? Jak na przykład, leżąc na ziemi kopany przez kilku napastników, zdołał wyciągnąć i wycelować broń? Choć na ekranie widzimy świadka wydarzeń – kobietę, którą trzej napastnicy zaczepiają, zanim przenoszą swoją uwagę na Artura – medialne opisy zdarzeń nie zawierają jej relacji, która potwierdzałaby, że Artur działał w samoobronie. Media mówią o morderstwie, a będąca projekcją schorowanego umysłu partnerka Jokera chwali sprawcę za to kogo, a nie w jakich okolicznościach zabił.

Kolejna zbrodnie Artura nie mają już nic wspólnego z samoobroną, wiele natomiast z dążeniem do zamknięcia swojego dotychczasowego życia w drodze do samobójczego finału. Ich ofiarami stają się osoby symbolizujące w umyśle Artura jego porażki i tragedie. Kiedy dowiaduje się, ze będąca w stanie śpiączki matka najpierw adoptowała go, a potem milczała w obliczu okrucieństwa kolejnych ojczymów, dobija ją w szpitalu; brutalnie morduje kolegę z pracy, którego wini za zwolnienie; wreszcie, zaproszony do talk show, w którym został wyśmiany w ramach swego rodzaju przeprosin, przyznaje się do zabójstwa trzech biznesmanów, wygłasza gniewny manifest o wykluczeniu i zabija oponującego jego słowom prezentera, wcześniej swojego idola. Z każdym kolejnym zabójstwem nastrój filmu staje się radośniejszy; Joker celebruje kolejne zabójstwa widowiskowymi tańcami, w które muzyka i sposób poruszania się kamery angażują samego widza; emocjonalna logika

Photo by Victória Kubiaki on Unsplash

historii nakazuje widzieć w ostatnim zabójstwie Jokera i w wywołanych nim gwałtownych zamieszkach, na których czele na krótko staje, jego zwycięstwo nad przeciwnościami losu, zrozumiałą i sprowokowaną, jeśli nie do końca uprawnioną formę protestu człowieka społecznych dołów przeciwko obojętnej na jego los dominacji zadufanej w sobie plutokracji. Gniew protagonisty i jego wyzwoleńcze wyładowanie odmalowane są w filmie z niezwykłym kunsztem i narzucają odbiorcy tożsamość z nimi.

Fleck nigdy nie był skoncentrowanym na opiece nad matką niewiniątkiem.

Jeśli to odczytanie filmu jest prawdziwe, „Joker" jest zagadką psychologiczną subtelniejszą niż wszystko, co w ostatnich trzech dekadach widzieliśmy w masowym kinie – o co najmniej poziom wyżej od osławionego „Shutter Island". W takim razie twórcy godzą się również na to, ze wysoce nieoczywiste i oparte na pewnych założeniach odnośnie ich własnych kompetencji rozwiązanie

Mało który z dzisiejszych protagonistów jest osoba jednoznaczną moralnie; preferujemy bohaterów etycznie złożonych, a jeśli prostych, to albo Dobrych grających nieczysto, albo Złych zabijających innych złych, jak Tony Soprano czy Omar Little

Wszystko to potwierdzać może to tezę, że obraz ma być ilustracją tak faktualnych, jak i emocjonalnych i moralnych urojeń Jokera, nie zaś współczującą, ale pozostającą z boku opowieścią o jego losach. Przestępcza sprawność protagonisty pozostaje w sprzeczności z jego niezdarnością, demonstrowaną w początkach filmu; łatwość, z jaką przechodzi on do porządku dziennego nad mordowaniem znanych mu i kluczowych w jego życiu osób także wskazuje, że mroczne rysy jego natury nie zostały wywołane dopiero przez opisane w filmie wydarzenia, a przynajmniej w przedstawiony na ekranie sposób. Artur nie zostanie w ramach samego filmu zidentyfikowane jako poprawne, a zatem że przesłanie ich filmu będzie inne dla znakomitej części widowni.

Jakkolwiek atrakcyjna może się wydawać taka interpretacja, jest ona dość karkołomna, a egzekwowanie takiej strategii przyniosłoby twórcom tylko straty. Na pewno nie da się też obronić odczytania „Jokera" jako krytyki społecznej – bohater nie jest w żadnym momencie postawiony w sytuacji bez wyjścia, a jego przemoc nie jest wymierzona w osoby czy instytucje winne jego problemów. Sam „Joker" jest osobą chorą –

cierpiącą i w części nieodpowiedzialną za swoje zachowanie, ale jego czyny są chore, to jest patologiczne. Z bojownikiem o równość, wolność i braterstwo do czynienia nie mamy, co zresztą stwierdza wyraźnie sam antybohater. Film jest więc najprawdopodobniej, mimo całej towarzyszącej mu otoczki artyzmu, niczym więcej i niczym mniej niż doskonale zrealizowanym prequelem o kluczowej dla znanego komiksu i jego ekranizacji postaci.

Problem w tym, że aby obronić środki, którymi się posługuje, film musi być czymś więcej. Obsadzając w roli protagonisty bezwzględnego mordercę, łamie bowiem ważne moralne tabu, nie oferując nic w zamian. Kultura popularna – i w ogóle kultura – obfituje w obrazy przemocy od swojego zarania; zazwyczaj nie kibicujemy jednak w kinie mordercom. Mało który z dzisiejszych protagonistów jest osoba jednoznaczną moralnie; preferujemy bohaterów etycznie złożonych, a jeśli prostych, to albo Dobrych grających nieczysto, albo Złych zabijających innych złych, jak Tony Soprano czy Omar Little. Oglądamy przemoc dla samego cieszenia się przemocą, ale jeśli jest to przemoc realistyczna, albo nie jest skierowana w stronę niewinnych, albo nie trzymamy strony sprawcy. Nie wyobrażamy sobie kibicowania Hannibalowi Lecterowi, nawet jeśli to dla postaci Hannibala oglądamy dany film czy serial. O ile wspomniana wcześniej dość karkołomna hipoteza o Jokerze jako ostatecznym narratorze całej opowieści nie jest prawdziwa, film zasadę tę łamie, i to w sposób rażący.

Samo epatowanie przemocą w scenariuszy zabójstwo-samobójstwo przy użyciu broni palnej można już uznać za moralnie niedopuszczalne, jednak w „Jokerze" uzasadnienie dla tej przemocy przybiera postać przemieszanych postulatów skrajnie prawicowych i skrajnie lewicowych populistów, niebezpiecznie rezonując z sentymentami co do których twórcy mogą być pewni, że będą wśród części widzów obecne. Film bardzo łatwo odczytać jako określający te zachowania za zrozumiałe, jeśli nie usprawiedliwione – i przynoszące sprawcom dokładnie to, czego zwykle oczekują. „Joker" nie tylko uparcie odmawia uczłowieczenia większości ofiar, ale też z wielką dokładnością dba, aby antybohater nie przekroczył najważniejszych współczesnych tabu. Zbrodnie Jokera nie mają charakteru seksualnego; nie ma w nich rasizmu (co więcej, film explicite ukazuje, ze Joker nie jest rasistą – sąsiadka, o związku z którą roi, jest czarna). Poza matką Jokera jego ofiarami zostają jedynie biali mężczyźni – bogaci, wpływowi, zatrudnieni w policji, a przynajmniej niesympatyczni. Nie tylko uchybia to realizmowi (Joker ma wszystkie cechy incela, ale incelem nie jest), ale pozwala domniemywać że z protagonistą widz ma się jednak móc utożsamiać.

Przemożna sugestywność filmu zostawia nas przez to z poczuciem niesmaku – oto braliśmy udział w celebracji nihilistycznej przemocy, która prawdopodobnie do prawdziwej przemocy zainspiruje a której w żaden sposób nie dyktowała artystyczna konieczność. Wspaniała forma kryje komiksową treść, łamiąc – przynajmniej moim zdaniem – zasadę społecznej odpowiedzialności twórców, w imię co najwyżej poklasku, albo – co gorsze – zapewnienia sobie darmowego marketingu za pomocą celowo wywołanego oburzenia. Film wydaje się przez to tak histrioniczny, tak postmodernistyczny i tak nihilistyczny jak sam jego bohater – i fakt, ze może być to zamierzona gra autorów na poziomie meta, niekoniecznie poprawia ocenę tego zjawiska. „Why so serious?". Bo to chyba nie tylko ja. *It is getting crazier out there* ◉.

„Mgła, emocje, paradoksy" - felietony polityczno-społeczne Marka Migalskiego

„Im bardziej więc partie ze sobą wojują, im bardziej dominują w debacie publicznej, im bardziej zawłaszczają każdy temat, żeby wymienić ciosy, tym większą zyskują popularność i sympatię wyborców. Jeśli uda im się tak ustawić dyskurs polityczny, że każda, nawet najmniejsza kwestia, będzie przedmiotem ich zażartego sporu, w którym obie formacje zajmą skrajne pozycje, tym lepiej dla nich, bowiem dzięki temu będą w stanie obsłużyć emocjonalnie prawie całe spektrum społeczne. (...)

Stracą zaś te ugrupowania, które będą nawoływać do pokoju społecznego, które będą wskazywać na jałowość tego typu sporów oraz wzywać do zakończenia bezsensownych kłótni i zajęcia się sprawami ważnymi dla elektoratu. Tacy »defetyści« na pewno nie zostaną uznani za wartych obdarzenia głosem wyborczym i będą musieli zadowolić się rolą statystów. Bo w polityce, gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają. I tylko oni".

BIBLIOTEKA LIBERTÉ!

sklep.liberte.pl

MACIEK ZAJĄC

Absolwent Ośrodka Studiów Amerykanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego, doktorant filozofii UW, publicysta, tłumacz.

TOMASZ BĄK

LIT ME UP

Przeżyjmy raz jeszcze to,
z czego jutro będziemy się śmiać
w podgrupach, zanim
natręctwa, dystrakcje i uzależnienia
przygniotą nas doszczętnie.

Tak, październik jest specyficzny,
te wszystkie prozdrowotne środy,
wspólne wybieranie numeru
specjalnej linii dla ofiar
związków z pisarzami i poetami,
gdzie pod jedynką czeka konsultant,
który doradzi, jak wytłumaczyć partnerowi/partnerce,
że pisanie to żaden zawód,
a wciśnięcie gwiazdki pozwoli uzyskać pomoc
w pakowaniu i przeprowadzce w cholerę.

Dziwne to rozmowy,
tym dziwniejsze, im częstsze,
jakby bardziej nieoczekiwane
w chwilach, w których należy się ich spodziewać.

Przyjdą z pierwszym zerwanym dachem,
z pierwszym połamanym drzewem –
kim jestem, żeby nie wyjść im naprzeciw,
kim byłbym, gdybym nie wyszedł?

Tomasz Bąk (ur. 1991) jest poetą. Wydał trzy książki poetyckie oraz jednoaktówkę *Katedra* (2019). Za *Kanadę* otrzymał Wrocławską Nagrodę Poetycką Silesius w kategorii debiut roku. Jego *[beep] Generation* nominowano do Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej, natomiast najnowszy zbiór wierszy *Utylizacje. Pęta miast* – do Silesiusa i Nagrody Literackiej Gdynia, a ponadto uhonorowano Poznańską Nagrodę Literacką – Stypendium im. Stanisława Barańczaka. Gra na basie w zespole Janusza Reichela RHL Ansambl. Mieszka w Tomaszowie Mazowieckim.

Wiersz wolny to nowa przestrzeń *Liberté!*, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości.
Redaguje Rafał Gawin

Photo by Hidde Rensink on Unsplash

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:
Leszek Jażdżewski

Z-ca redaktora naczelnego:
Magdalena M. Baran

Numer ukazuje się dzięki wsparciu czytelników

Zespół *Liberté!*:
Piotr Augustyniak
Piotr Beniuszys
Marcin Celiński
Sławomir Drelich
Marcin Frenkel
Daria Hejwosz-Gromkowska
Krzysztof Iszkowski
Sławomir Kalinowski
Tomasz Kamiński
Tomasz Kasprowicz
Joanna Łopat
Alicja Myśliwiec
Marcin Wojciechowski

Tłumaczenia i współpraca zagraniczna:
Olga Łabendowicz

Koordynacja liberte.pl
Joanna Głodek

Promocja i kontakt z czytelnikami:
Magda Melnyk
redakcja@liberte.pl

Koordynacja 6. dzielnicy
Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:
Lotokot Studio

Korekta
Justyna Szczypuła

Ilustracje:
Olga Łabendowicz (s. 56, 64, 67)
zdjęcia na licencji CC BY-SA 3.0, CC0
Zdjęcie na okładce: Scott Eckersley on Unsplash

WYDAWCA:

Fundacja *Liberté!*
ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

Prezes Zarządu:
Błażej Lenkowski

Wiceprezes Zarządu
Leszek Jażdżewski

Sekretarz Zarządu:
Kamil Janiszewski

Członkowie Zarządu:
Filip Miłoszewski
Rafał Szkudlarek

ISSN: 2080-4326